(Ner. 4.)

DZIEDZILIJA

CZYLI

Pamiętnik Płocki,

pięknéj Literaturze poświęcony.

Pismo peryjodyczne dla użytecznéj zabawy Rozumu i Serca.

Miesiąc Październik Rok 1824.

SPIS RZECZY

W Numerze 4. Tomie II. zawartych.

Do tego Numeru przyłączony iest Walec Fr: Weckiego równie jak do trzeciego.

DZIEDZILIJA

CZYLI

PAMIĘTNIK PŁOCKI,

piękněj Literaturze poświęcony.

Pismo peryjodyczne dla użytecznéj zabawy Rozumu i Serca.

ROK PIÉRWSZY.

TOM II.

Paździérnik, Listopad, Grudzień,

1824.

Kto w Bogu i w pracy swéj pokłada nadzieje,
Za tym szczęście nadchodzi, wszystko mu przyśpieje.

GAWIŃSKI.

W PŁOCKU,

NAKŁADEM i DRUKIEM K. KULIGA.

Wolno drukować.

w Warszawie dnia 26. Października 1824.

J. K. SZANIAWSKI,

Rad: Stanu Dyr: Jlny Wych: Publicz:

SZRAMA.

(Dokończenie).

PIEŚŃ III.

Tułając się po lasach posępny Szrama, świéżémi ziół listkami ciężką zagoił ranę. A odzyskawszy utracone siły w zamierzoną puścił się drogę. Wśród upału skwarnego słońca, przebywszy lasy i bagna, po kilkodniowéj podróży przybył do obozu Polskiego, razem prawie z wieścią o zamordowaniu Gniéwomira Starosty. — Ogłaszano, że Rycerz ogromnéj postaci, nazwiskiem Szrama był jego zabójcą, że teraz ma się w obozie znajdować, i znaczną obiecywano nagrodę, ktoby go żywym lub umarłym stawił. — Gwar wojennego ludu rozchodził się daleko, ciągły ruch widać było wszędzie. Ci się zabawiają spiéwaniem, ci broń swoję na nowe sposobią boje, inni poili konie, inni nakoniec zebrawszy się w koło, głośno rozmawiali.

Przed jednym z obszerniejszych namiotów, grono siedzącéj młodzieży żwawą prowadziło sprzeczkę. Zbliżył się do nich Szrama, a usłyszawszy, że sam był ich rozmowy przedmiotem

z ciekawością uważał wszystkie ich słowa. Nie jeden młody przechwalca obiecywał sobie pozyskać za jego głowę nagrodę, nie jeden żartował z niego, i ostrémi przegryzał go słowy. Jeden szczególniéj młodzieniec, którego jescze włosy w złote się pukle zwijały, więcéj nad innych zapalony, kilka słów groźnych wymówiwszy, zachęcał drugich, aby się z nim w Bukowinie szukać go udali. Kilku wraz téj podjęło się pracy, i zaczęli się do téj wyprawy sposobić. Słysząc to Szrama, zaledwie mógł utaić boleść swego serca, oczy jego krwawym ogniem pałały, krew żywiéj krążyła, a gniéwem oburzony pokilkakroć już się chciał targnąć na zuchwałych przechwalców, lecz zawsze bojaźń haniebnéj śmierci cofała już do miecza posuniętą rękę. Odszedł, głęboką w sercu przechowując ranę.

Zemsta jednéj jescze z hardych śmiałków wymagała ofiary, lecz własne bezpieczeństwo stawiało jéj tamę. Ciężką to jest rzeczą, zwłascza dla dumnego umysłu, słyszéć szyderskie przekąsy, a niémódz upomniéć się za nie. Tą myślą zajęty Szrama w ponurém milczeniu opuścił obóz, i do pobliskiego schronił się lasu. Las ten czarny od mnóstwa rosnących buków Bukowiną był zwany. Tysiące różnych powieści powiadano o nim. Był zaczarowany, i miał być schronieniem duchów piekielnych, a żaden wę-

drowiec niémógł w nim bezpiecznie przebywać. Straszne jakieś widziadła i głos przerażający trwożyły przechodniów, wszystko zdawało się grozić niebezpieczeństwem.

Nie bez trwogi straszny Szrama w ten las ciemny się zapuścił. Wśród dnia nawet słońce niewiele tam miało przystępu przed gałęzistémi konarami buków, i niebieskie sklepienie gęstém było zasłonione liściem. Wiatr niedał się czuć w gęstwinie, miotając tylko wiérzchołkami olbrzymich drzew, czynił przeraźliwy szelest. To wszystko połączone z wyobrażeniem o zaczarowanym lesie nawet rycerskie przenikało serce. W ten las puścił się śmiały Szrama, a ukrywając mimowolną trwogę, próżno sam przed sobą starał się ją taić, każdy szelest zwracał jego niepewne spojrzenie, każdy pień, wśród cienia stojący, zdawał mu się być grożącym duchem, a wyobraźnia jego, pełna urojonych myśli, niéraz mu stawiała przed oczy widmo krwią zbroczone.

Już był daleko w głąb lasu zajechał, gdy wśród okropnego całéj kniei milczenia, głos posępny, jakby z pod ziemi wychodzący, zdala wołać począł na niego. Z początku niezrozumiałe wyrazy coraz się wyraźniejszémi stawały. Tak jest, mnie to szukają, rzekł do siebie Szrama, mamże się, jak łania piérzchliwa przed myśliwcami, w ciemnéj ukrywać gęstwinie? tu im

dostoję, tu ich czekać będę, tu ich zwyciężę, lub zginę. To mówiąc chciał wstrzymać idącego konia, lecz ręka nieśmiała być posłuszną wahającemu się umysłowi. Bliższe, i coraz bliższe odgłosy taką trwogą serce jego przejęły, że Rycerz, co się niedawno wstydził uchodzić przed nieprzyjacielem, przestraszony, w nieprzystępnéj gęstwinie szukał schronienia swéj głowie. Myśl i bojaźń haniebnéj śmierci, gdyby od przemagającéj podchwycony był liczby, taką podała mu radę.

Długo jescze niepewny w ciemném ukryciu zostawał, i nieraz, zniewagą poruszony, chciał wyjść, i sam się swoim prześladowcom pokazać, lecz taż sama bojaźń, co mu się ukryć kazała, wstrzymywała go zawsze, wahało się jego serce pomiędzy gniewem i trwogą, a zemsta i rozpacz naprzemian umysłem jego miotały. — Postrzegł wreście tego samego młodziana, co się niedawno w obozie dumnie przechwalał. — Choża jego postać i nadobne lica były podobne do rumianéj zorzy przy wschodzącém słońcu, a oczy i twarz pałająca ogniem malowały rycerski jego zapał. Przebiegł całą knieję, szukając srogiego zabójcy, i ciągle jego powtarzając imie, miecz goły w każdym krzu utapiał. Przyglądał się Szrama zdalcka takiej odwadze młodzieńca, i zaledwie mógł dostać na miejscu.

Rzekł wreście do siebie. Niegdyś przytomną śmiercią gardziłem, tysiące kul i mieczów niémogły mnie zatrwożyć, a dziś jednego lękam się młodzika, co jescze ani sił, ani doświadczenia niéma" To mówiąc dobył pałasza, brzęknęło żelazo. Podniósł oczy wysmukły młodzieniec, i przysłuchiwał się w to, skąd głos wyszedł wpatrując się miejsce. A w tém zobaczył barczystego męża, w prawéj ręce trzymającego miecz goły, lewą zaś prowadzącego rumaka. Zadziwiła go postać ogromna, serce jednak nieuznało trwogi. Kto iesteś? spytał odważnie.— Ten którego szukasz, odpowiedział Szrama, chcę wiedzieć, czego chcesz odemnie? Krwi lub miecza, krzyknął z odwagą młodzieniec, chcę, żebyś miecz twój u nóg moich złożył, dobrowolnie złożył, lub ci go gwałtem, odjąwszy życie, odbiorę. Miecz ten za cięźki dla ciebie, rzekł Szrama, lecz, że krwi żądasz, zaraz ci ją wytoczę. Po tych słowach obadwa poskoczyli ku sobie, i zwarli się z sobą orężem.

Kiedy pies zwinny z ogromnym dzikiem nierówną walkę rozpocznie, ostrych kłów jego zręcznémi obroty unika, a trudząc go ciągle ze wszystkich stron mu zabiega; odyniec w swoiéj zaufany sile tym większym gniéwem płonie, im słabszym swego przeciwnika mieni, i nakoniec w srogiéj zapalczywości ostrym ująwszy go zę-

bem, przerazliwie wyjącego odgania. Tak nasi walczyli Rycerze, nierówni wiekiem i siłą, lecz męztwem jednacy, długo w upornym scierali się boju. Śmiały i zręczny młodzieniec niedostatek siły z winnémi nagradzał obroty; w długiéj znużywszy się walce, w prawą od Szramy ugodzony rękę, upuścił pałasz błyszczący, i upadł na stratowaną ziemię, jak wysmukła topola, od gwałtownego powalona wiatru. Na słabych powiekach śmiertelny sen zdawał się osiadać, piersi jego pod ciężkim wzdymały się oddechem: w tém rzecze Szrama:— krwi chciałeś, masz ją: dość mi na tém, nie chcę ci życia odbierać, bo twoje ramie może być jescze pomocném Ojczyźnie.

To mówiąc, schował krwią zlany oręż, poczém nagle postrzegł trzech młodzieńców z prawéj zbliżających się strony, wsiadł na konia, i zwolna z dumą się oddalił, a i wtenczas nawet drżało jego serce wstydem przejęte. Postanowił najpiérwsze przyjąć wyzwanie, i albo wszystkich pokonać, albo zginąć od potrójnych ciosów. Lecz nieprzyszło do tego, młodzieńcy widząc towarzysza boju, rozciągniętego na ziemi własną krwią zbroczonéj, niemyśleli o zemście, lecz o wczesnéj pomocy. Drogi ciężar wziąwszy na ramiona, zasłaniając oczy łzami rzewnémi zalane, do obozu go nieśli. Już ich widać niebyło

a jescze niespokojny oglądał się Szrama: wszystkiemu nieufać się zdawał, każde drzewo, każdy szelest poruszonych liści, każdy nawet powiéw łagodnego wiatru wrogiem był jego.

Już się téż słońce do zachodu schylało, już tylko wiérzchy olbrzymich buków promień gasnący ozłacał. Cała natura łagodnością tchnęła, błękitne Niebios sklepienie przyjemną obiecywało pogodę, a lekki powiéw zefira, pomiędzy listki wpadając, wydawał szmer cichy. Wieczorne zorze na zachodzie już na swoje łono przyjmowały Króla światła, którego twarz ognista, jakby dziennym utrudzona biegiem, spocząć miała, aby po krótkiéj chwili czyściejszym światłem zabłysnąć. Jescze pola i łąki cieszyły się blaskiem jego, chociaż już słabszym, kiedy wcześniejsza w Bukowińskiéj pusczy noc osiadła. Posępny Szrama zdawał się wszędzie czarne napotykać cienie, strach go mimowolny ogarnął, powstały mu włosy. Sam jeden w tak okropnym lesie, wśród piekielnych duchów noc tę miał przepędzić. I on sam i koń jego potrzebował wytchnienia, stanął, i na zielonéj pod gałęzistym bukiem położył się trawie. Lecz próżno na wszystkie przewracał się strony, sen słodki nieśmiał na jego zstąpić powieki, a jeźli zstąpił na chwilę, to tylko dla pomnożenia okropnéj męczarni. Spał, czy też czuwał, zawsze

grożące przed oczami miał widmo, zawsze mu się w posępnym wyobrażeniu snuły duchy i mary piekielne.

Lecz okropniejszy nad inne cień młodego Wisława ciągle mu towarzyszył, ilekroć sen miał zawrzéć mu powieki, zbliżał się do niego, własną pokazuiąc ranę, do serca miecz mu przysuwał. Zerwał się przerażony Szrama, a tylko grubą widząc w koło siebie ciemność, rzekł z boleścią: nigdyż mnie, okrutny, prześladować nieprzestaniesz? czyż nawet i na tę chwilę spoczynku wroga i mordercy twego zawistném okiem spoglądasz? Wtém głos jakiś podobny do gwaru skupionego ludu, głucho po całéj rozchodzący się kniei, obił się o uszy. Zdrętwiał, bał się nawet oddechu wypusczać, aby ten go niezdradził. Słucha, lecz, coby to było, pojąć niémoże: w krótce jakiś niezwykły szelest i łoskot nastąpił, a echo po całéj roznoszące go pusczy, stokroć go powtarzając, stokroć okropniejszym czyniło.

W tak strasznym położeniu Szrama nieśmiał i krokiem postąpić, nieśmiał się nawet obejrzéć. Zdawało mu się, że już zbliżała się chwila śmierci, i już tylko czekał w milczeniu, kiedy te nocne mary zbliżą się do niego. W pośród wewnętrznego przestrachu każdy łoskot, każde uderzenie było śmiertelnym jego sercu ciosem.

Posępna noc dodawała okropności temu położeniu, blady Księżyc przez gęste przedzierające się liście, smutne rzucał światło, a niekiedy tłumem czarne przesuwające się chmury, zupełnie jego ponurą zasłaniały tarczę. W strasznéj pustyni, samotny, drżąc, jak słabe światełko pochodni, za każdym szelestem z niecierpliwością oczekiwał jutrzenki. Wystawiał sobie, że czas w téj nocy zapomniał o swoim biegu, lub, że spikniony, na jego udręczenie umyślnie leniwym postępował krokiem.

Zbliżała się nareście tak długo oczekiwana chwila, lazurowe sklepienie zwolna dziennym pokrywało się światłem, i zwiastowało szczęśliwy powrot słońca różanego: już i ów straszliwy łoskot zwolna ustawał, a w miejscu jego leśnych ptasząt śpiéwy ożywiły serce ponurego samotnika, pełnego trwogi i zgryzoty. Wstał w towarzystwie słońca, więcéj nabrawszy odwagi, rozważając głęboko w umyśle wyryte wrażenie nocnych okropności, wdał się w tę stronę, skąd ten przerażaiący gwar i łoskot wychodził; lecz wszędzie głuche tylko napotykał milczenie, i niczego niespostrzegł, coby mu podało myśl objaśniającą. Błąkał się długo po lesie, lecz próżno swoję chciał zaspokoić ciekawość, i mimowolnie był przynaglony gminnym o czarach u-

wierzyć powieściom. Niezrażony jednak przeciwnością, i sam przed sobą wstydząc się téj myśli, postanowił jednę noc jescze w téj strasznéj kniei przepędzić, i dojść koniecznie przyczyny téj okropnéj wrzawy.

Trwał w swojém przedsiewzięciu aż do nocy Rycerz samotny, lecz skoro czarne ciemności głuchą osłoniły puszczę, zdawało się, że odwaga jego z światłem dziennèm zniknęła. — Gardził wprawdzie trwogą, niémógł jéj jednak przystępu do swego serca zabronić, chwiała ona jego umysłem, tak dalece, że nawet żałował niewczesnéj śmiałości, i radby był swego odstąpić zamiaru, lecz już zapóźno było. Z przyjściem nocy okropne rozpoczęły się huki, i nawet strasznie jszémi się zdawały. Długo stał, do głazu zimnego podobny, osłupiałe w ziemię wlepił oczy, a w sercu jego wstyd z trwogą walczyły. Przemógł wstyd nareście: dobywszy miecza, zawołał, ten nigdy jescze mego niezawiódł ramienia, z tym śmiało wszędzie pójść mogę. To mówiąc, zwarł ostrogami konia, i puścił się szybko ku owemu straszliwemu łoskotowi.

Jechał z okropną w sercu trwogą, często nawet wrócić się miał zamiar, lecz wstyd resztę jego męstwa ożywiał. W tém nagle straszny oczom ukazał się widok: w odległości widać

było gorejące ognie, przy których mnóstwo wielkie czarnych snuło się duchów. Wszyscy byli zajęci pracą, jak cienie znikome migać się tylko zdawali, a iskrzące się pochodnie, które każdy z nich w ręku trzymał wspaniały mogłyby widok wystawić, gdyby mu okropna nietowarzyszyła trwoga. Zdrętwiał na to Szrama, oddech mu się w piersiach zastanowił; nie są to ludzie, pomyślał stojąc, i z dala się przyglądając, bo cóżby o téj porze, i z takim pośpiechem robili; po któtkiém jednak zastanowieniu, niemęzką wyrzucając sobie bojaźń, rzekł; jakiémiż więc są istotami, jeżeli nie są ludźmi? mamże, jak trwożliwe dziécię, lub jak słaba niewiasta bać się, i utrzymywać, żem widział te piekielne mary, nieprzekonawszysię o tém, i przez to na ostre wystawiać się przekąsy; nie, to są ludzie, i o tém przekonać się muszę.

Zaledwo mało naprzód ujechał: stój, ozwał się głós jakiś straszliwy, na który dreszcz zimny przeszedł po ciele Rycerza. Stój, jeźli ci miłém jest życie, gdy krok daléj postąpisz, śmierć cię niezawodna czeka. Stanął Szrama, a obejrzawszy się, nic w koło siebie niewidział. Ścięła się krew w żyłach jego, pot mu zimny wystąpił na czoło, przywoławszy jednak zgasłą już odwagę: ktokolwiek jesteś, rzekł śmiało, wiédz, że błahe nietrwożą mnie groźby, śmiercią mi

grozisz, a jak łań pierzchliwa w gęstwinie kryjesz się przedemną. Wyjdź i dowiedź czynem, że prawdę mówisz. Chciałem oszczędzić twe życie, ozwał się głos utajony powtórnie, lecz ponieważ niedajesz wiary moim przestrogom, muszę cię o ich pewności przekonać. Ucichł głos przenikający, którego każdy wyraz był piorunem dla serca Szramy, nastąpił szelest suchych gałęzi i liści, i w krótce dwa straszliwe pokazały się widma.

O Nieba! krzyknął przerażony Szrama, cugle z drżącéj wypuszczając dłoni, i tuż ciebie napotykam jescze? Ledwie ukończył te słowa, gdy koń jego niespodzianym przestraszony widokiem, w bok uskoczywszy nagle, w głąb lasu uniósł swego Pana, i ocalił mu życie. Ale czegóż niezwyciężony dotąd uląkł się Szrama? Poznał w tych strasznych postaciach, co się jego przedstawiały oczom, niewinne swego gniéwu ofiary, Wisława ze Zbigniewem. Trudno dociéc, czy to ich duchy w saméj rzeczy były, to tylko pewna, że nie inna była przyczyna przestrachu naszego Rycerza. W trwodze i przerażeniu naglił już i tak śpiesznie uchodzącego konia, bo mu się zawsze zdawało, że Wisław zawzięty tuż za nim postępuje, aby krwawéj swéj zemście dogodził. Niewiedział, w którą rumak uniósł go

stronę, pędził tylko, niedozwalając mu nigdzie zwolnieć szybkich kroków.

Wyjechał nareście z okropnego lasu, i na obszernem ujrzał się błoniu, które kręty strumień zielonémi krzewami umajony przerzynał. Pełen jescze okropnego wrażenia, jakie noc ostatnia na nim sprawiła, wolniejszym postępował krokiem. — Utrudzony koń żajał robiąc bokami, które biały pot okrywał. Przyprowadził go Rycerz do strugi, i puściwszy wolno, sam na zielonym rozłożył się brzegu, w ponurych zatopiony myślach. W takiém pogrążony zachwyceniu niepostrzegł nawet, kiedy jaskrawe słońce wzniosło tarczę złotą po nad wierzchy dębów i buków. Długo jescze rozważał los swój niesczęśliwy, kiedy anielski śpiew jakiejś nadobnéj dziewicy z głębokiego wywiódł go zachwycenia. Są tu więc ludzie, mówił do siebie, podnosząc się. — Z pomiędzy zielonéj krzewiny dojrzał niedaleko młodą dziewczynę, zbieraniem jagód zatrudnioną, która tak przy swojéj pracy nuciła:

Niewiem, co wtedy dzieje się wemnie,
Gdy Staś zabieży mi drogę,
Coś mi tak serce bije przyjemnie,
Że pojąć siebie niemogę.

Przy nim zupełnie jestem sczęśliwa.
A gdy odejdzie, drżę cała;
Tęskność mnie jakaś, smutek porywa,
I tylko płakaćbym chciała.

Gdy on się śmieje, lubię śmiéch jego,
A gdy się smuci, ja płaczę;
Chciałabym czegoś..... lecz niewiem czego,
Bo przy nim serce mi skacze.

Gdy mówiąc o nim, kto go wychwala,
Ja niewiem, czemu się wstydzę;
Gdy go zaś zganią, gniéw mnie zapala,
I wszystkiém zaraz się brzydzę.

Cóż to jest! co dziś dzieje się wemnie,
Gdy Staś zabieży mi drogę,
Coś mi tak serce bije przyjemnie,
Że pojąć siebie niémogę.

Sczęk stali z jéj ostatniémi połączył się wyrazy, obejrzy się, i zatrwożona postrzega barczystego Rycerza: widok jego strachem ją przeraził, nic bowiem podobnego w życiu swém nieznała. Jak bojaźliwa sarna, postrzegłszy myśliwca, bezpieczeństwo swoje nogom powierza, tak nasza dziewica, nieznanym przerażona widokiem, z krzykiem uciekać poczyna. Próżno wołał za nią Szrama: niebój się, niebój nadobna; nie-

niesłucha głosu jego, ucieka. Poskoczy za nią Rycerz, i uchwyciwszy za ramie, stój: rzecze, ja przecie człowiek jestem. Drżała w jego ręku.— Posępna Rycerza postać, brwi obwisłe, kurzawą okryte, trwożyły niewinne serce.

Na zapytanie Rycerza drżącym odpowiedziała głosem, że stara jéj Matka w pobliskiéj mieszka dolinie, gdzie ją ona z bratem z pracy rąk własnych utrzymuje. Prowadź mnie więc do niéj, rzekł Szrama. Z radością posłuszna była, a bojąc się okropnego człowieka: który, z posępną miną prowadząc konia, szedł przy niéj, podwajała kroki. Zapytana, ile lat Staś jéj liczy, niewinnym spłonąwszy rumieńcem: ośmnaście, rzecze; późniéj westchnęła, mówiąc: on nie jest moim. Ponury Szrama nic więcéj niemówił, postępując w milczeniu krętémi ścieszkami.— Postrzega nagle z toporem śpieszącego młodziana, co także z Bukowińskiéj kniei powracał, oczy jego niezwykłym ogniem jaśniały. Nikczemny, wołał, nie tak łatwo tę niewinną posiędziesz ofiarę, przez moje chyba piersi do niéj się przedrzesz.

Na ten głos Szrama dobył miecza, a widząc słabego przeciwnika, niechciał napróżno niewinnéj krwi rozléwać, domyślał się bowiem, że lub kochankiem, lub bratem owéj dziéwczyny być musi. Lecz, gdy młodzian zapalczywy wpadł na niego z rospaczą, Rycerz widząc, że niedawszy

mu odporu, życie mógłby swoje narazić, podniósł miecz, już miał ciężkiém razem piersi młodziana ugodzić, gdy się zatrwożona dziewica o los swojego kochanka między walczących rzuciła. Rozstąpili się obadwa, groźno spoglądając na siebie, jak dwie czarne chmury, jaskrawym rozerwane gromem. Wreście rzekł Szrama, czemu niebaczny chcesz potykać się ze mną? żaden zamiar ohydny w sercu mém się niezjawił, porzuć niebezpieczną walkę, i zaprowadź mnie do chaty, abym mógł spocząć u ciebie. Zdumiony Stanisław, badającym w nadobną kochankę wpatrywał się wzrokiem, która pomieszanych oczu podnieść na niego nieśmiała. Odważyła się wreście uwiadomić go o wszystkiém. Udali się więc razem do pobliskiéj chatki.

Tam szczérze posępnego gościa przyjęto; rozniecony ogień rzucał blask migotliwy na wszystkie strony, ukazując oczom nie bogate, ale czyste sprzęty, a ochocza Kasia koło śniadania się krzątała, za nią Rycerz ponury smutne oczy obracał. Wybadywano go o różne zdarzyć mu się mogące przygody, i jak śmiał wśród nocy zapuszczać się w las ten ciemny, gdzie dosyć mieć trzeba wytrwałości i męstwa, aby go we dnie przebywać. Przekonanym był o téj prawdzie Szrama, lecz wolał milczeniem swoję pokryć przygodę, niż głosić straszne widziadła, które

się przecież z jego niezgadzały przekonaniem.— Niechętne zatém na ich pytania odpowiédzi dawał, i obojętnémi tylko zbywał ich słowy.

Dzień cały i noc tam przepędził Szrama, lecz tylko dla tém większego udręczenia. Niewinność w koło niego spoczęła, sny słodkie nad niémi bujały, jeden tylko zbrodniarz w pośrodku cnotliwych zostawał, lecz sen łagodny, jakby z trwogą, ociężałe jego omijał powieki. Widok spokojnie zasypiających był najokropniejszym dla niego, niémógł na miejscu doleżéć, z niecierpliwością powrotu dnia oczekiwał, bo noc czarna, czarnéj jego duszy, piekła była obrazem. Żaden jescze promień przyjścia różanéj niezwiastował zorzy, i zaledwie ranna jutrzenka poczynała się budzić, kiedy już Rycerz posępny odjeżdżać był gotów. Zadziwieni tak nagłym odjazdem powstawali wszyscy. Na dobrą drogę przez Stanisława wyprowadzony, pożegnawszy się z nim czule, odjechał.

PIEŚŃ IV.

Jak po gwałtownéj burzy, całą noc huczącéj, miłym jest łagodny poranek majowy; tak po długiém oddaleniu, po wyciérpianych w obcym kraju przykrościach, widok ojczystéj ziemi, wléwa czucie ślachetne w serce każdego. Wracający Szrama do Ojczyzny doświadczył tego samego wrażenia, lubo go tam nowe tylko przygody czekały. Nie żona z otwartémi rękoma wybiédz naprzeciw niego miała, nie dzieci niewinne, ani cnotliwa kochanka, by stęsknieni, po długiém niewidzeniu, radość mu z jego przybycia okazać, ale srogi wyrzut sumienia, zemsta i nienawiść wściekła. Taki obraz miałże rozweselić niesczęsnego? Wycisnął mu tylko łzy boleści, łzy, co dawno na jego niepostały twarzy.

Mimo jednak tę srogość niesczęsnego losu, chciałby był błyskawicy lotem na tém stanąć miejscu, gdzie Helena przebywa, chciałby być jak najprędzéj u stóp jéj, wyznać swoję miłość i winę, opisać wyciérpiane dla niéj niesczęścia, których całą nagrodą, jeden uśmiéch, jedna łza wdzięczności, śmiercią, pogarda być miała. Gniéwał się na każdą przeszkodę zatrzymującą go na chwilę, a przy spoczynku z niecierpliwością na swego konia spoglądał, bo każda godzina zda-

wała mu się nieprzebytym oceanem czasu, w którym myśl jego tonęła. Zbliżył się wreście do Dniestru, czuł radość widząc z drugiej jego strony Polskie niwy, a przecie narzekał, że mu dość czasu przebycie jego zabierze. Rzucił się z koniem w szumiące rzeki bałwany, a pędem wody niesiony, przez głębokie tonie burzącego się żywiołu, po kilka kroć życie naraziwszy, przepłynął. Czegóżby nie dokazała miłość?....

Stanąwszy na drugim brzegu zsiadł z konia i ojczystą pocałował niwę, mówiąc; ziemio kochana, raz jescze oglądać cię mogę, lecz nie tak jak dawniéj, wawrzynem sławy okryty. Wspomnienie to okropną w sercu jego odnowiło ranę, czarne myśli w umyśle snuć się mu poczęły i ponury smutek na twarz stroskaną wystąpił. Jechał, lecz nigdy drogą, bał się bowiem napotkać jakiego człowieka, bo każdy zdawał mu się być mścicielem zabitych. Umysł jego dziki odwykł od ludzi, od chwili pierwszéj dokonanéj zbrodni.

Trudno dawną odzyskać spokojność: skoro raz odbiegnie, nigdy niepowraca, nie zostawując nawet śladu swojego pobytu. Serce, które jéj się raz pozbyło, wszędzie okropną napotyka trwogę, i nosi na sobie piętno wykonanych zbrodni. — Niesczęsny Szrama ſciężkiego niemógł się pozbyć frasunku, co chwila nowe znajdował

męczarnie, co krok nowego napotykał wroga. Myśl czarna straszne mordy jego przywodziła pamięci, a kiedy usiłował naprόżno o nich zapomnieć, stawał mu przed oczyma uprzedzający go Wisław, którego jasne niegdyś włosy, brudnym zasypane prochem, i piersi krwią zlane, bolesną rospacz w sercu jego budziły. Nieraz w strasliwym zapale, chciał sobie życie odebrać, lecz jescze nie wszystkich doświadczył męczarni, co karą zbrodni być miały, niedoczekał jescze godziny, w któréj miał doznać okropniejszych katusz.

Stan jego duszy był coraz uciążliwszym: nigdzie niémógł znaléść spokojności wytchnienia, a wszędzie straszliwa towarzyszyła mu zgryzota. Mijały godziny dnie i noce, srogi tylko wyrzut sumienia niemijał go nigdy. Las czarny, przez który przéjéżdżał, i noc posępna, pomnażały okropność jego położenia. Na niebieskiém sklepieniu z wolna zbiérające się chmury, i wiatr z cicha między listkami szemrzący, dżdżystą naturze nawałnicą groziły. Co chwila gwałtowniejszy wicher z szumem olbrzymich dębów poruszał ramiona, w tém grom błysnął, i szarpiąc chmury, spuścił nawałnicę. W pośród okropnych ciemności, tylko przy świetle migających błysków dalszą drogę odbywał.

Błądząc dość długo, i swojemu złorzecząc loso-

wi, słabe w dalekości ujrzał światełko. Było mu ono gwiazdą przewodnią, do któréj dążył, tracił ją często z oczu, znowu odzyskiwał, i jakby za łudzącą ubiegał się nadzieją. Coraz wściekléj powstawała fala, od bijących do koła piorunów ciągłym ogniem jaśniały niebiosy, gdy przed ubogą stanął chatą. Już miał słabe wrota silném otworzyć ramieniem, ciekawość jednak wstrzymała go nieco. I cóż go tak nagle na progu wiejskiéj, chaty zajęło? bałże się? nie; chciał tylko wiedziéć, o czém tak głośno rozmawiano. O jakież było jego zadziwienie, gdy usłyszał opisywany okropny zgon młodego Wisława. Zdrętwiał, drescz go przeszedł zimny, lecz w krótce dziki jakiś zapał ożywił w nim ducha, wszedł, i te jescze ostatnie sędziwego starca dosłyszał wyrazy: nigdy Bóg zbrodni nie puscza bezkarnie!

Wnijście Rycerza przerwało mowę starcowi, trwoga wszystkie ogarnęła zmysły. Rzucił surowy wzrck Szrama, i postrzegł zdumiony na boku owego młodzieńca, z którym w Bukowińskiej kniei ciężką stoczył bitwę. Milczał, milczeli wszyscy, nikt nieśmiał przemówić. Piérwszy Kazimierz się ozwał (to bowiem było imie młodzieńca): witaj, Rycerzu, niémógłeś lepiéj jak do nas trafić! To mówiąc powstał, podał gościowi rękę, i posadził przy sobie; lecz napró-

żno umysł zgryzotą dręczony usiłował rozerwać. Wziął wreście do rąk lutnię, a stósując się do tajemnego smutku Rycerza, jękliwe budził wniéj tony, i tak ostatnie swojéj Ojczyzny klęski opiéwał.

Ty, co niegdyś w słodkim rymie,
Bolesne kojąc cierpienia,
Miłości głosiłaś imie,
Jej roskosze i złudzenia.
O Lutnio! skarbie mój drogi,
Odmień dziś wesołe tony;
Niech jękliwe twoje strony
Nucą Rycerzów los srogi.

Jaskrawe świéciło słońce;
Pod skwarném niebem, dzień cały,
Ciągnęli kraju Obrońce,
Chciwi bohatérskiéj chwały.
Jest za Dniestrem miejsce ciemne,
Gdzie podług ludu powieści
Trwoga okropność się mieści,
Duchy i mary podziemne.

W ten las okropny, ponury,
Gdzie rozpacz zaległa z trwogą,
Wojsko nakształt czarnéj chmury
Odważną wstąpiło nogą.

W pośród gałęzistych buków
Gwar się rozchodził jęczący,
A promień słońca błyszczący
Od ich odbijał się łuków.

Nagle, po krotkiém milczeniu,
Łoskot okropny się wszczyna:
Jakby po niebios wstrząśnieniu,
Zachwiała się Bukowina.
Stuletnie walą się drzewa,
Gniotąc Rycerze i konie,
Ostatnia nadzieja w zgonie
Ginących mężów zagrzéwa.

Ileż Matek nieszczęśliwych,
Na miejscu chlubnych wawrzynów,
Leją strumienie łez tkliwych,
Po stracie kochanych synów.
Ileż kochanek łzy leje,
Przy grobach lubych młodzieńców,
Ileż, zamiast ślubnych wieńców,
Czarną żałobę przywdzieje.

Tam widząc smutny grobowiec,
Przy szczątkach tyłu orężów,
Zdumiony spyta wędrowiec:
Tyleż zginęło tu mężów?
Nieraz wśród tego ukrycia,
Kość wojownika zbutwiałą
Potrąci nogą zuchwałą,
Czegoby nieśmiał za życia.

Skończył, a jescze głos jego obijał się w uszach przytomnych: uroczyste trwało milczenie, nikt się go przerwać nieważył. Ozwał się nakoniec Kazimiérz, i opisywał czarną zdradę Wołochów. Westchnął, płakali przytomni, a posępny Szrama rozważał w ponurym umyśle, jaka była przyczyna tych strachów nocnych, które taką w Bukowińskiéj pusczy napełniły go trwogą.

Już się téż Niebo, mglistym zaćmione obłokiem, przecierać zaczynało, milczący księżyc blade rozrzucał promienie, kiedy spokojna drużyna do spoczynku udać się miała. Szrama tylko posępny, co w każdym widział zbrodniarza, i który prócz swojéj szabli nikomu więcéj nieufał, czując, jak daleko sen słodki jego omijał powieki, wolał samotny wśród nocnéj ciszy w dalszą zapuścić się drogę, niżeli z trwogą bezsenne trawić godziny.

Niesczęsny, im bliższym był celu swojéj miłości, tym go większa niespokojność dręczyła: zgryzota, rozpacz i trwoga nigdy jego umysłowi wytchnąć niedały. Okropną wszędzie niosąc w sercu ranę, zdawał się nic niewidzieć przed sobą, a łagodna cisza nocy pogodnéj, nieprzerywała mu posępnego zachwycenia. Nagle stanął koń, podniósł Rycerz głowę zwieszoną, i już nie w ciemnym lesie, nie na kwiecistym błoniu,

ale wśród grobów milczących się postrzegł.— Zdrętwiał, i zimny, jak marmur, stał w miejscu. Tu krzyż na pół spruchniały już się do ziemi pochyla, a w koło niego darniną pokryte mogiły; tam nad smutnémi zwłokami kamień połowy spoczywa, owdzie leżą zbutwiałe kości, które nowym przychodniom miejsca ustąpić musiały. Tu także spoczywali jego dziadowie, tu krewnych, przyjaciół ostatnie sczątki pochował: westchnął na to wspomnienie, i drżącą ręką łzy rzewne ociérał.

Gdy takim tknięty obrazem, myśl swą do Boga podnosił, grobowy jęk przerwał zachwycenie jego. Zwraca w tę stronę bojaźliwe oko, i niezbyt daleko od siebie widmo postrzega, siedzące przy wynioślejszéj mogile, którą płaczące brzozy i wierzby osłaniały swym cieniem. Pot zimny wystąpił mu na czoło, śmiertelna trwoga ogarnęła serce, wstydząc się jednak przestrachu, jakiego w Bukowińskiéj puszczy doświadczył, zsiadł z konia, aby się lepiéj, niż w tenczas, czém było to widmo, przeświadczyć. Zbliża się, drżącą postępuje nogą, i jescze wątpiąc o swojéj odwadze, w milczące i nieporuszone widmo nieśmiałym wpatruje się wzrokiem. Słaby księżyca promień padał na twarz bladą młodzienca.— To Wisław! okropnym głosem zawołał przerażony Szrama,

nogi pod nim chwiać się poczęły, i z drżącéj dłoni oręż mu wypadł.

Na ten odgłos siedzący zerwał się młodzieniec, i wyrzekł z boleścią: ktokolwiek jesteś, poco przychodzisz mięszać i moją i tych umarłych spokojność? Zaledwie skończył te słowa, przy słabém świetle księżyca poznał nienawistnego Szramę: weź oręż, krzyknął na niego, zginiesz, lub ja zginę; woła na mnie o pomstę krew Ojca mojego i zwłoki cnotliwéj Heleny. Heleny! powtórzył Szrama z boleścią, więc ona nieżyje? Tak jest, nieżyje, odpowiedział Wisław, twoje ją zbrodnie do grobu wpędziły, oto jéj mogiła. Na te słowa Szrama przenikającą poczuł w sercu rozpacz, a mając życie za ciężar: oto zbrodzień przed tobą, zawołał; bezkarnie oddycham, śmierć Heleny stała się śmierci mojej wyrokiem, umrę; lecz ty niedozwól, abym bezkarnie umiérał, powtórz mi wszystkie moje zbrodnie, opisz zgon Heleny, abym wśród najokropniejszych męczarni zbrodniczą duszę wyzionął.— Niesczęsny, rzekł Wisław, chcesz, abym podwoił okropność losu twojego, uczynię zadość twemu żądaniu.— Pamiętasz, bo zapomnieć własne ci niedozwala sumienie, kiedy wśród burzliwéj nocy krwawą stoczyliśmy walkę. Ty lepiéj wiész zapewnie, co się w tenczas stało, bo ja od zmysłów i sił odbieżony, nieczułem nawet, że żyję. Po niejakim

czasie wróciła przytomność, ale z nią razem wróciła boleść i nieprzejednana chęć zemsty.— Poprzysiągłem w ostatniém uniesieniu cieniom Ojca mojego, niéwrócić do domu, aż téj ostatniéj zadosyć uczynię potrzebie, i odtąd wszędzie twoje śledziłem kroki, lecz mi ich los zawistny nigdy odkryć niedał, i gdyby nie zgon ukochanéj Heleny, zemsta moja możeby nigdy nasyconą niebyła. Niestety! tyle drogiéj trzeba było ofiary, abym tak wielką przełamał przysięgę, abym do domu wrócił niezemszczony.

Gdy się wieść o zamordowauiu Ojca mojego, i o mym zgonie rozeszła, nadobna Helena ponuremu oddała się smutkowi. Jéj melancholija z każdym dniem wzrastała, rumieniec młodości zwolna gasł na jéj twarzy, i nakoniec ostatnia śmierci zbliżyła się chwila. Konając, ze łzami jescze Wisława wspominała imie, i wymówiwszy przebaczenie zabójcy swojemu, niewinne zakończyła życie.

Przybyłem, ale niestety! zapóźno, bo już tylko martwe zwłoki zastałem. Rozpacz mnie ogarnęła, śmierć nad życie byłbym przeniósł z ochotą, gdyby chęć zemsty mojéj niewstrzymała ręki. Tu spoczywają jéj zwłoki, tu zgon jéj opłakiwać co noc przychodziłem, tu ona sama będzie naszéj walce przytomną. Weź oręż i nie-

zwlekaj sczęsnéj chwili śmierci, lub pomsty za najdroższą kochankę.

Bolesne jęczenie z łona się Szramy wyrwało, pochwycił miecz i krwawym w koło toczące wzrokiem, zawołał: ja sam będę twoim mścicielem. To mówiąc, ogromny miecz obu rękami wepchnął w pierś zbrodniczą, i upadł na posępną Heleny mogiłę. Czarna krew tocząc się z piersi, zielony grób jéj zbroczyła, i wsiąkła w tę ziemię, co jéj szanowne pokrywała zwłoki. Okropne późniéj o tém miéjcu powtarzano wieści, duch jakiś, co noc na tym przesiadywał grobie, i pusczyk przeraźliwie huczał.

BAJKA.

CZECZOTKA i PRZEPIÓRKA.

Płocha Czeczótka, co wygląda ładnie,
Myśląc, że sercem każdego władnie,
    Do wszystkich się mile wdzięczy,
    Każdemu za stałość ręczy;
A skoro komu rozniécie nadzieję,
    Szydersko się potém śmieje.
Ta tedy próżna czeczotka,
W oczkach miła, w ustkach słodka,
Rzekła w Ptastwa zgromadzeniu:
„Słyszałam, jak słowiczek w gęstym drzewin cieniu,

„ Wywodził pienia ponure,
„ Widzę, że ten ptaszyna ma tkliwą naturę.
„ Niewiele trudów użyję,
„ Pod mą władzę go podbiję;
„ I tak go w pole wyprowadzę ładnie,
„ Że hołd niosąc mym wdziękom na kolana padnie:
„ A gdy tak zręcznie ukończę intrygę,
„ Pokażę mu potém figę.
„ Jeźli (o czém niewątpię) los mi to pozwoli,
„ Będziemy się śmiać do woli.
„ Bo co to za śmiészna postać,
„ Ze słowika dudkiem zostać!!„
W tém poważna przepiórka, która zna słowika,
Z wolna się do niéj przymyka,
I témi nierozsądną zacznie gromić słowy:
„ Niepsuj sobie darmo głowy.
„ Nie znasz ty tego ptaszka, sztuczka to ostrożna,
„ Niełatwo go uwiéść można.
„ Słowik zna wdzięk miłości i ma serce tkliwe,
„ Ale umié poznawać zalety prawdziwe.
„ A te marne powaby, na któreś tak hardą,
„ Potrafi mijać z pogardą.
„ Jeśli znajdzie samiczkę, co kocha w istocie,
„ Co równie, jak on, szczęście zasadza na cnocie,
„ Co sobie z świętych uczuć igraszki nieczyni,
„ J gotowa z nim iednym żyć nawet w pustyni;
„ Wtenczas wieńcząc miłością jéj uczucia stałe,
„ Poświęci jéj wyłącznie swoje serce całe;
„ Dla niéj tylko żyć będzie, a nawet, tak tuszę,
„ Gotów w tkliwych uczuciach wylać dla niéj duszę.
„ Pomnij moja Czeczótko, żeś się źle wybrała,
„ Z niestałych sobie żartuj, gdyś sama niestała;
„ Ale najlepiéj zrobisz, chceszli żyć szczęśliwie,
„ Kochaj tylko jednego, a kochaj prawdziwie.

TYREN

z *Klajsta.*

Tyren, chłopczyna mały, pewnego wieczora,
Widział pięknego Amora.
Gdy trzepocąc skrzydłami, to w prawo, to w lewo,
Zlatywał z drzewa nad drzewo.
Ah! jak to piękny ptaszek! co za śliczne piórka,
Obym ja go mógł złapać, rzecze mały bzdurka.
Na to Ojciec sędziwy: Niech cię wdzięk nie łudzi,
Ten ptaszek zabija ludzi.

PRÓŻNOŚĆ.

Śmiertelniku! co w bystrym zawodu polocie,
O przeznaczenia swego niepomnisz istocie,
Zatrzymaj się na chwilę, i rozważaj zemną
Naukę wielkiej liczbie żyjących tajemną.
A jeźli odkryjemy jaką prawdę śmiałą,
Uczcijmy za nię Bóstwo, co skarb myśli dało.
Jakże za marą sczęścia gonisz całe życie!
J chciałbyś je doścignąć w najwyższym zasczycie.
Zapuść się tylko w siebie, i czém jesteś oceń.
Ramy biorą swą wartość od sztucznych pozłoceń.

Lecz

Lecz drewno zawsze drewnem: jakież to szaleństwo!
Z dostojnością człowieka mięszać dostojeństwo?
Czyliż jednego zdobi chwały blask fałszywy;
Gdy nędza tai wielkość wpośród wiejskiej niwy?
Blask najwyższy jest zawsze pożyczanym blaskiem;
Niech go czczą milijony wielbienia oklaskiem,
Niech przed nim korne czoła milijony schylą,
Wszystko ustaje z życiem i z ostatnią chwilą;
A człowiek bez imienia, przed śmierci Aniołem,
Oprócz duszy jest prochem, jest zimnym popiołem.
Gdzież więc ludzie ta wielkość, z któréj się szczycicie;
I w którym, czy tu w ziemskim, czy w wiecznym pobycie?
Jest ona i na ziemi, stąd początek bierze,
A tam z nieśmiertelnością ma wieczne przymierze.
Przedwieczny jéj zasiłkiem, opieką Przedwieczny,
Jako wyszłéj od niego w nim cel ostateczny.
Lecz daremnie tu wielcy, wielkimi być chcecie,
Jeźli wam szczęście ludzi nieznane jest w świecie.
Ta pożyczona wielkość wnet opadnie z czoła:
A Bóg na ścisłą liczbę, Bóg, tam was powoła,
Gdzie nędzarz, co żył zawsze w ukryciu przed światem,
Równy ozdobionemu chwały majestatem!
Tak jest, z wysoka tylko natchnienie jéj płynie,
Jéj źródło i siedlisko w odwieczném krainie.
Kto wierny powołaniu i Bóstwa skinieniu,
Tak żyje w dostojeństwie, jak w zaciszy cieniu;
Kto z Rzymianinem może te powtórzyć słowa:
„Tak się w każdym przypadku mój umysł zachowa,
„Tak postępuję w każdej mego życia chwili,
„Jakby memi świadkami wszyscy ludzie byli;"
Kto wie, że marne blaski chwały nieprzyczynią,
Czyje serce jest prawdy i cnoty świątynią;

Kto zasługę prawdziwą umié godnie cenić,
I nigdy za sąd prawy niezwykł się rumienić,
Bo nim zawsze kieruje cnota przy rozumie;
Kto sam skromny, a próżność pozostawił dumie;
Kto stały w prawym celu, nieulegnie trwodze,
Na prawdziwéj wielkości znajduje się drodze;
Wszystko inne przeminie, jako wodne fale,
Jemu wieczność zaświéci w nieśmiertelnéj chwale.
Zniknie mniemana wielkość przed prawdy obliczem;
Bóg sam tylko jest wielkim, a reszta jest niczem.

BAJKA.

NIEZRĘCZNY PTASZNIK.

Z umysłu, albo igraszki,
Pewien chłopczyna łapać chciał ptaszki,
Lecz choć siatkę ukrył w śniegi,
Zachodził i siedział cicho,
Jakieś nieprzyjazne licho
Niweczyło jego zabiegi.
W tém, jak to zwyczajnie bywa,
Przysuwa się filut śmiały:
„Praca twoja nieszczęśliwa,
„Ślęczysz daremnie dzień cały.
„Jescze za usilność marną,
„Zjadają ci, głupcze, ziarno.

„Chceszli łapać ptaków stada,
„Słuchaj, taka moja rada.
„Bierz po garści soli,
„Zachodź im powoli,
„Sypnij na ogony,
„A ujrzysz niebawnie,
„(Tylko zwiń się sprawnie),
„Że każdy przylgnie, jak uwięziony."
Usłuchał Jasio, i z domu
Brał sól pokryjomu,
Rzucał nią na ptaki.
Lecz choć jaki taki
Łebsko dostał po ogonie,
Tém prędzéj ulata,
To na dach, to na błonie,
To do gaju.— Cóż u kata?
Pomyślał sobie chłopczyna,
Ani jednego niezłapałem ptaszka.
Ale to fraszka,
I sól wypsułem: tu płakać zaczyna.
Jakże powrócę do chatki,
Tyle nabrawszy soli, a bez wiedzy Matki?
Matka tuż za Jasiem stała.
Ale wspaniała,
Widząc łzy syna, poprawy znamie,
Dowiedziawszy się jescze, że te psoty
Nie z jego własnéj poszły ochoty,
Rzekła: *„Mój Jasiu, tak niejeden kłamie,*
„Naucz się z téj szkody
„Gdzie płocha łatwowierność prowadzi wiek młody.
„Mały masz przykład na soli.
„Niejeden z próżnéj swawoli,

„A wielu, gdy ich twoje rozgniéwają cnoty,
„Na wiek, na zdrowie niémając względu,
„Do jakiéj ciebie namówią pustoty,
„Aby się potém naśmiać z twego błędu.
„Stare niesie przysłowie,
„Które podali baczni przodkowie,
„Że pieczone gołąbki
„Niewlecą same do gąbki.
„Pracuj, przy pracy miéj stałość,
„I nieugiętą wytrwałość,
„Wtedy błogich zamiarów doczekasz się końca;
„Próżniaki niesą godne światła tego słońca:
„Tak sobie wystaw, po wszystkie dni twoje,
„Że te ptaszków roje
„Są sczęściem, które miga się przed nami;
„Siatki z ziarnem,— sposobami:
„A twój zwodziciel,— przeszkodą:
„Jeśli pracy dołożysz, w czasie i potrzebie,
„Bezpiecznie naówczas ciebie,
„Drogi rozsądku do sczęścia zawiedą."

BAJKA.

KULA i PIGUŁKA Z TRUCIZNĄ.

Kula, co przy pigułce zatrutéj leżała,
Rzecze: „Jak między nami różnica jest mała,
„Obiedwie człowiekowi wydzieramy życie,
„Ja głośno, a ty cicho, ja jawnie, ty skrycie;
„A chociaż się niémamy czém wynosić obie,
„Lepiéj mnie być podobném, a niżeli tobie.

JAN KOCHANOWSKI
W CZARNOLASIE.

Darmo szukałem w odmianie wieczystéj,
Owéj roskosznéj lipy rozłożystéj,
Pod której niegdyś ulubionym cieniem,
Wdzięcznym mąż wielki rozrzewniał się pieniem.

KRASICKI w liście: *Wyjazd z Warszawy.*

Wspomnienie znakomitych ludzi wieków dawniejszych, obudza w naszych sercach ślachetne żądze nieśmiertelności i sławy.— Rozważając ich czyny, mowy i pisma, przejmuje się umysł wielkością ich duszy.— Takie rozmyślanie ma jescze nadewszystko ten powab, że nas przenosi, w owe czasy chwały naddziadów, w owe czasy chlubnych pamiątek Ojczyzny; że pozwala wytchnąć sercu; że pozwala spokojnie dumającéj myśli, opuścić na czas niejaki świat i scenę jego. Bo czy to wpatrujemy się w sprawy publiczne wiekopomnego męża, czy nas rozrzewnia jego domowe pożycie, czy śledzimy bystrość ducha, cel i ślachetny zapał, co żyje w pismach jego; zawsze naukę przyjemną, lub słodką pamiątkę, lub rzewną lubość, odnosimy w nagrodę, za wolniejsze chwile, któreśmy tak miłemu zatrudnieniu, tak pożytecznéj, tak chwa-

lebnéj pracy poświęcili. A jeśli na to pomnimy, że wszystko, co jest ojczyste, najdzielniéj przemawia do duszy; że cnoty przodków najślachetniejszy zapał rozniecają w potomkach, a nawet ich błędy i wady najskuteczniéj ostrzegają, i najlepiéj uczą; któż z nas niepoświęci swobodniejszych godzin poznaniu rzeczy ojczystych? kogo nierozrzewnią, kogo niezdumią losy, mowy i czyny tych mężów, którzy największy wpływ mieli na swoje czasy, na ludzi ze sobą żyjących?

Takim był niezawodnie Jan Kochanowski, Dziedzic Czarnolasu, Ojciec naszych Poetów: czułość Matki była iego mistrzynią w latach dziecinnych, pod jéj okiem wzrósł i powziął piérwsze światło nauk. Ta wzorowa Matka wychowała jescze przy nim inne dzieci, z których Piotr, Jędrzéj i Mikołaj dni swobodne Muzom poświęcili. Jakaż to chwała dla Polki, że tylu synów przysposobiła Ojczyźnie! Jan Kochanowski po ukończeniu wyższych nauk w Polsbe, nie dla próżnéj chluby udał się za granicę. W Rzymie, Padwie, w Paryżu, śledził duch jego źródła chwały i wielkości ludów; śledził dobrego smaku, i dla tego wyuczył się obcych języków, aby plonem ich skarbów zbogacić niwę ojczystą. Tak usposobiony wrócił do Ojczyzny, zabrawszy ze sobą szacunek mężów,

słynących mądrością i nauką u obcych. Poprzedziła go za granicą nabyta: i niedziw, że ledwie stanął na ojczystéj ziemi, zaraz Padniewski, z którym go Padwa przyjaźnią złączyła, polécił go chlubnie ze Sekretarza Królowi. Kwitnęła Polska naówczas pod berłem i błogiémi rządu starego Zygmunta. Powaga jego Majestatu, panowanie dzielne, pomimo wpływu Bony, pomimo zawichrzeń od jéj stronników zrządzonych, wydało najpowabniejsze owoce chwały u postronnych i światła narodu. Jan Kochanowski miał dopełnić świetnéj kolei mężów zasłużonych w kraju; do tego wezwała go Opatrzność; temu powołaniu chlubnie odpowiedział.

Lecz miejsce, które mu Król przy swoim boku powierzył, niémiało tyle powabów, aby go do siebie przywiązało na zawsze. Jakaż zaś posada mogła uwięzić takiego człowieka, któryby za najwyższą niebył się zrzekł utęsknień do spokojnego zacisza i swobodnych dumań? Poezyja natchnęła go pragnieniem ustronia; ona zapaliła tkliwą iego duszę; ona mu wiejską spokojność, ona przeznaczyła dziedzictwo natury. Dla niéj przeniósł nad wszystko, roskosze Czarnolasu i tam obcował z Muzami; tam żył w towarzystwie dobréj żony Anny Podlodowskiéj. Ach! gdzieżby przyjemniéj, gdzie miléj był przemawiał duch jego

w nieśmiertelnych pieniach? jeśli nie pod wiejską strzechą, w cichiém Czernolasie, pod cieniem rozłożystéj lipy, którą, że w dziełach swoich uwiecznił, chociaż przestała osłaniać doliny, gdzie wiescz słodki dumał, gdzie płakał nad zgonem kochanéj swojéj Urszulki; jednak luba jéj pamiątka, obok jego imienia słynąć będzie w najpóźniejszych wiekach. (*)

O lube wiejskie ustronia! wy natchnęłyście powabami natury piérwszych swych śpiéwaków, w ich dziełach jest życie i świéżość; a ktokolwiek z waszego natchnienia nieśpiéwa, ten zawodzi innych, mija się ze sławą, jest kłamcą uczonym; tego całe poema niewarto jednego wiérsza Delila.

Ale gdzież stoi ów skromny domek, owo schronienie naszego Poety? W nim przemiészkiwał Patryjarcha Polski, nie przez lata swoje, ale czystość obyczajów i cnotę (**). Mały

---

(*) Oprócz Epigramatu na tę lipę, w księdze III. Fraszek, jest jescze wzmianka o niéj w Pieśni II. księgi II. do Hanny kochanki, a późniéj żony Poety:

Samy Cię ściany wołają,
I z dobrą myślą czekają:
Lipa stojąc wpośród dworu,
Wygląda Cię coraz z boru.

(**) Dwa już wieki przeszły, miejsce się prawie tylko samo zostało, gdzie miészkał! ale winna Polska

podobno ślad został tego staropolskiéj prostoty, staropolskich obyczajów siedliska. Miło każdemu Polakowi odczytać napis, który ten Mąż wielki na swój domek zrobił:

Panie, to moja praca, a zdarzenie Twoje,
Raczysz błogosławieństwo dać do końca Swoje,
Insi niechaj pałace marmurowe mają,
I szczérym złotogłowem ściany obijają,
Ja, Panie, niechaj mieszkam w tém gniaździe ojczystém,
A Ty mnie zdrowiem opatrz i sumieniem czystém,
Pożywieniem uczciwém, ludzką życzliwością,
Obyczajmi znośnémi, nie przykrą starością.

---

czułości Księcia Jabłonowskiego, Wojewody Nowogrodzkiego, iż kupiwszy umyślnie tę majętność, ostatki domu wielkiego Męża kształtném miészkaniem przyozdobił; tak zaś budowlę rozporządził, iż dom w którym miészkał Kochanowski, nienaruszenie zachował. Wierzyc należy; iż przy coraz bardziéj krzewiących się w Polsce naukach, miejsce to znakomite, uszanowanie zwykłe, winne śladom wielkich ludzi odbiérać będzie.

Krasicki w liście: *Wyjazd z Warszawy.*

Wyczytujemy z Kalendarzyka polit: na rok 1823., że ten zabytek zniszczony został późniéj przez Ekonoma innego właściciela Czarnolasu, a lipa ściętą. Ale trudno pojąć, kto prawdę napisał. Krasicki niewidział już lipy, a ci sami Autorowie, co opisywali Województwo Sandomiérskie, późniéj wymieniają lipę ściętą, i dom Kochanowskiego zniszczony. Dla odkrycia prawdy prosilibyśmy ich o łaskawe objaśnienie.

Oto wierny obraz jego serca, oto słowa tkliwości i patryjachalnych uczuć, w których się czysta dusza Poety, jak skromna trawka, w źwierciedle jasnego źródełka odbija. *Panie!* mówi Kochanowski, *to moja praca, a zdarzenie Twoje*; ja sobie to zapracowałem, ale wszystko mam z Twojéj ręki, Tyś mi łaskawie poszczęścił. *Raczysz błogosławieństwo dać do końca Swoje*, niezazdroszczę innym wspaniałych pałaców, niezazdroszczę sprzętów kosztownych; pozwól mi tylko miészkać w tém ojczystém gniaździe do końca, zachowaj mi zdrowie i czyste sumienie, daj pożywienie uczciwe, ludzką życzliwość, obyczaje przystojne i nie przykrą starość. Wszystko czego sobie w długim rytmie życzy *Marcyjalis*, zawiéra się w tym wiérszu Kochanowskiego, pełnym słodyczy wewnętrznéj, wdzięku poezyi, i niewymownie miłéj harmonii. Takie są życzenia spokojnego człowieka, co tylko cnotą żyje, i czystém jéj powietrzem oddycha. Jakże od nich różne pragnienie chciwości i dumy! Ludzie, dający się im powodować, jako igrzyska ślepéj furtuny, tracą w tenczas wszystko, gdy cnota skromna w zaciszu, lituje się nad ich obłąkaniem, i smutném poniżeniem człowieka.

Tak myślał Kochanowski, takiém uczuciem ożywiał swoje dzieła. Kochana Młodzieży! czytaj, odczytuj jego pieśni, gdzie znajdziesz naj-

piękniejsze, najczystsze nauki życia; w nich także poznasz, jak zarabiać na sławę u świata, jak zyskać szacunek od swoich, jak czułą duszą i myślą kochać ziemię Przodków! Nie wątpię, że się przejmiesz radami tego przyjaciela cnoty, że wpoisz w siebie to złote jego zdanie:

Cnota skarb wieczny, cnota klejnot drogi:
Tegoć nie wydrze nieprzyjaciel srogi.
Niespali ogień: niezabierze woda:
Nad wszystkiém inném panuje przygoda.

Ale nadewszystko naśladuj skromność, jakiéj ten Mąż wielki w całém życiu przestrzegał. — Bo kiedy ani pensyja Sekretarza u dworu zatrzymać go niémogła, ani zwyczajem owych czasów Opactwa Sieciechowskiego nieprzyjął, pomimo żywych nalegań Jana Zamojskiego, ani dochodów Probostwa Katedry Poznańskiéj, które mu hojny, i godny takiego Męża przyjaciél, Kanclerz Myszkowski u Króla wyrobił, kiedy, mówię, tego wszystkiego zrzekł się jego wielki umysł, i na wszelkie zasczyty obojętnie poglądał: musiały go od młodości saméj uzacniać inne zdania, inne myśli, jak ludzi pospolitego czucia; musiał serce swoje obwarować stałością, aby tylko sobie samemu wszystko był winien, a mało dbał o to, co słusznie losu trafunkiem i skutkiem względów zowiemy. Dla tego, chceszli, kochana Młodzieży, tak słynąc, jak ten Mąż

wielki, a przynajmniéj tak siebie być pewną, i takie, jak on, mieć przekonanie o swojéj cnocie, pamiętaj zawszę na tę jego naukę prostą, a wiele znaczącą:

Kto ma swego chleba,
Ile człeku trzeba,
Może niedbać o wielkie dochody,
O wsi, o miasta, i wysokie grody;
To pan zdaniem mojém,
Kto przestał na swojém:
Kto więcéj szuka, jawnie to znać daje,
Sam na się, żę mu jescze niedostaje.
Siła posiadł włości,
Kto ujął chciwości.

Ale nie taką jescze próbę stałości miał wytrwać Kochanowski, i nie to było ostatnie doświadczenie jego skromności. Jan Zamojski, Kanclérz, i sławny późniéj Hetman koronny, a już wtedy wiele znaczący w kole Senatu Polskiego, Mąż, który szukał zasługi ukrytéj, i umiał wyśledzoną ocenić, który znał, poważał i kochał skromnego ziomka Poetę, przemyśliwał nad tém, jakby go koniecznie wydobyć z ukrycia, i na przyzwoitém sobie miejscu godności i znaczenia, tę piękną, tę chlubną ozdobę, to światło narodu umieścić. Nieudało się mu ująć go dawniéj Opactwem. Sądząc, że go prędzéj zachwyci godność świecka, wyrabia mu z wszelką łatwością u Króla, umiejącego szacować nauki, i poważać

Mężów uczonych, Kasztelaniją Połaniecką. Przekonany u siebie, że gdy mu w imieniu Monarchy, z własnoręcznym swoim listem, prześle tak zasczytny przywiléj, Kochanowski da się powodować głosowi przyjaźni, i ulegnie uprzejmej namowie. Ale jakże godnie jaśnieje i w tém ostatniém zajściu sława jego; z jakiém uwielbieniem nieczytamy złotych słów Poety, wyrzeczonych w liście od Jana Zamojskiego! „Nie dozwolę, „pisże Mąż wielki, aby przemożny Kasztelan, „wszedłszy raz do mojego domu ojczystego, przez „swoję wspaniałość i przepych to zmarnotrawił, „co sobie Kochanowski zebrał." Prawdziwie staropolska i sczéra odpowiedź. Nieuraził nią Monarchy ani Kanclérza; ale przeciwnie powiększyło to ich szacunek dla niego. Bo cnota czy dobrodziéjstwa przyjmuje, czy się od nich wymawia, zawsze jest w oczach rozsądku szanowną i miłą. Gdzie zaś idzie o zasłużenie się Ojczyznie i ziomkom, tam się piérwsza ubiega. Widzieliśmy Kochanowskiego nieprzyjmującego znacznych dochodów i żadnéj godności. Lecz skwapliwie podjął się dostojności Wojskiego Sandomirskiego, małéj wprawdzie dla pychy, ale szanownéj dla skromnéj i cnotliwéj duszy. Ojcowie bowiem nasi, których ciągłém zadrudnieniem było wojenne rzemiosło, a godłem z niego pochodząca sława, piękne dziedzictwo całego Sło-

wiańskiego rodu, którzy większą połowę życia w obozach, na koniu, i z szablą w ręku spędzali; wyciągając z domów na wojny, mieli we zwyczaju wybiérać z pomiędzy siebie najszanowniejszego obyczajami i wiekiem ziemianina, aby czuwał nad ich dobytkiem, nad ich rodzinami i dobrém imieniem. Był to więc urząd bezpłatny, czcigodny, więcéj na czas wojny, jak pokoju; ten, który go dostąpił zatrzymywał go pospolicie do śmierci; bo zawsze na najgodniejszego padł wybór. Uczcili nim Obywatele skromne cnoty Kochanowskiego, chociaż wtedy jescze nie był poważny latami. Ale niewinność obyczajów ten miéwa przywiléj, że jedna człowiekowi szacunek, jedna cześć wyrządzaną sędziwości poważnéj, któréj kwiat wiosenny powabne wydał owoce. Dowiedziawszy się naród o tém dla Kochanowskiego zasczytném zdarzeniu, powziął wysokie mniemanie o jego cnotach i ślachetnéj duszy. Nawet i późniéj za złe mu tego niémiano, gdy ubocznie o téj okoliczności w rymach swoich wzmiankował. Tak naprzypład w Anakreontyku naśladowanym z Greckiego:

Niedbałem nigdy o złoto,
Alem tylko prosił o to,
Aby kufel stał przedemną,
A przyjaciel pijał zemną:

A tym czasem robotnicy,
Pieczą mieli o winnicy.
To wszystko moje staranie,
To skarb, złoto i zebranie.
Ani dbam o kasztelana,
Trzymając się mocno dzbana.

Wybrana przezeń towarzyszka życia, któréj osobne pieśni i wiele miejsc w swoich dziełach poświęcił, słynąca skromnością obyczajów, Anna Podlodowska, szlacheckiego domu, powiła siedmiu synów i siedem córek. Niedozwoliło mu Niebo zostawić z nich sławy swojéj dziedzica. Wiemy, że największych nadziei córka, była nadobna, i znakomitych zalet mała Orszulka, któréj zgon żałosny w dziewiętnastu Trenach albo Żalach opłakał (*). Jak zaś był przywiązany do swoich dzieci, dowodzą te jego słowa, pełne rzewności, za wstęp do Trenów położone: „Orszuli „Kochanowskiéj, wdzięcznéj, ucieszonéj, nie„pospolitéj dziecinie: która..... nagle, nieodpo„wiednie, w niedoszłym wieku swoim, z wiel„kim, a nieznośnym Rodziców swych żalem zga„sła: Jan Kochanowski, niefortunny Ojciec, swo„jéj najmilszéj dziewce, ze łzami napisał. Nié„masz Cię, Orszulo moja!”— Któryż Ojciec, co

(*) Zobacz Tren dwunasty, gdzie mówi:
A to tak w małym wieku sobie poczynała,
Że więcéj nad trzydzieści miesięcy niémiała.

mówię? który tkliwy człowiek niezapłacze po odczytaniu nagrobku, jaki J. Kochanowski swojéj nieodziałowanéj córce położył?

Orszula Kochanowską tu leży, kochanie
Ojcowe, abo raczéj płacz i narzekanie.
Opakeś to niebaczna śmierci udziałała:
Nie jać onéj, ale mnie ona płakać miała (*)

Cokolwiek rozczulającego mogą mieć Grecy i Rzymianie, z tém wszystkiém godnie porównać się dadzą Żale naszego Poety. A ten wiérsz nagrobku: *nie jać onéj, ale mnie ona płakać miała*, wyrywa z serca bolesne wspomnienie, i łzy z oczu wyciska. — Wszystkie jego Treny pełne są myśli najrzewniejszych. Kto tych wzorów elegijnéj poezyi nieczytał i nieodczytuje, o tém śmiało rzec można, że albo nielubi rzeczy ojczystych, albo ma serce z kamienia. Jakże boleśnie przemawia nieszczęśliwy Ojciec do śmierci: —

O prawo krzywdy pełne! o znikomych cieni,
Sroga, nieubłagana, nieużyta Ksieni:
Takli moja Orszula, jescze żyć na świecie
Nieumiawszy, musiała w ranym umrzéć lecie?
A nienapatrzywszy się jasnosci słonecznéj,
Poszła nieboga widziéć krajów nocy wiecznéj!

(*) *Hoc tumulo tristi recubat carissima nata*
Ursula, vel gemitus atque patris lachrymae:
O diras lethi mortalibus undique vices!
Nunc illam doleo, flendus ei sed eram!

A bodaj ani była świata oglądała:
Co bowiem więcéj, jeno ród, a śmierć poznała?
A miasto pociech, które winna z czasem była,
Rodzicom swym, w ciężkim je smutku zostawiła.

Wszystko mu przypomina nieobecność Orszuli, a nawet wdzięczne jéj słowa i ukłony, gdy mówi:

Wzgardziłaś mną, dziedziczko moja ucieszona,
Zdałać się Ojca twego bardziéj uszczuplona
Ojczyzna, niżlibyś ty przestać na niej miała.
To prawda, żeby była nigdy niezrównała
Z ranym rozumem twoim, z pięknémi przymioty,
Z których się już znaczyły twoje przyszłe cnoty.
O słowa, o zabawo, o wdzięczne ukłony,
Jakożem ja dziś po was wielce zasmucony?

Łzy się cisną do oczu, gdy czytamy zaczęci Trenu czwartego:

Zgwałciłaś, niepobożna śmierci, oczy moje,
Żem widział umiérając miłe dziécię swoje.
Widziałem, kiedyś trzęsła owoc niedojrzały:
A Rodzicom niesczęsnym serca się krajały.

Dokończenie godne jest rzewliwego początku:

Nie dziwuję Niobie, że na martwe ciała,
Swoich najmilszych dziatek patrząc, skamieniała.

W Trenie piątym przyrównywa ją kochany Ojciec do *oliwki małéj*, która obok matki wzrosła,

Jescze ani gałązek, ani listków rodząc,
Sama tylko dopiéro sczupłym prątkiem wschodząc:

Tę jeśli ostre ciernie, lub rodne pokrzywy,
Uprzątając sadownik podciął ukwapliwy,
Mdleje zaraz.

W Trenie szóstym pieści się z jéj śpiéwaniem, nazywa ją *ucieszną swoją śpiéwaczką, Safoną Słowieńską, na którą nietylko jego cząstka ziemieńska, ale i lutnia dziedziczném prawem spaść miała.* Co tylko żal po stracie najmilejszéj córki Ojcu podać może, to wszystko przywodzi sobie na pamięć Kochanowski. Dopiéro co przyrównał ją do młodéj oliwki, jużci znowu tak do niéj mowę obraca:

Jako więc lichy słowiczek, w krzaku zielonym,
Całą noc prześpiéwa gardłkiem swym ucieszonym.
Prędkoś mi nazbyt umilkła: nagle cię sroga
Śmierć spłoszyła, moja wdzięczna, szczebiotko droga.

Tu nawet miara wiérszy, i średniówka niezwyczajna, odpowiada, jak żałosne echo, narzékaniom Ojca. Niedosyć na tém. Jescze on sobie przypomina, jak rzewliwie mała jego śpiéwaczka ukochaną Matkę żegnała. A jakby wezbrana żałość wskazywała mu wszystko, co po niéj w domu ojcowskim zostało, wyraża się tą bolesną odezwą:

Niesczęsne ochędóstwo, żałosne ubiory,
Mojéj najmilszéj Córy:
Po co me smutne oczy za sobą ciągniecie?
Żalu mi przydajecie.

Już ona członeczków swych wami nieodzieje:
Niémasz, niémasz nadzieje.
Ujął ją sen żelazny, twardy, nieprzespany:
Już letniczek pisany (*),
(**). I uploteczki wniwecz, i paski złocone:
Matczyne dary płone.
Nie do takiéj łożnice, moja dziéwko droga,
Miała cię mać uboga *(niesczęsna)*
Doprowadzić: nie takąć dać obiecowała
Wyprawę, jakąć dała:
Giezłeczko (*koszulkę*) tylko dała, a lichą tkaneczkę:
Ale serce się kraje z żalu na te słowa:
Ojciec ziemie bryłeczkę
W główki włożył: niestetyż: i posag i ona
W jednéj skrzynce zamkniona.

Najwyżéj podnosi stratę swoję opłakaną, mówiąc:

Jedną małuczką duszą tak wiele ubyło.

Szukając smutnego pocieszenia, zwiédza omamioną myślą różne miejsca, gdzieby jéj duszyczka mogła przebywać:

Czyś ty nad wszystkie Nieba wysoko wniesiona,
I tam w liczbę Aniołków małych policzona?
Czyliś do Raju wzięta? czyliś na sczęśliwe
Wyspy zaprowadzona? czy cię przez tęskliwe
Charon jeziora wiezie? i napawa zdrojem
Niepomnym, że ty niewiész nic o płaczu mojém?

(*) *Letnia sukienka albo spodniczka.*

(**) *Może warkoczyki splecione w kształt wieńca na głowie.*

Czy człowieka zrzuciwszy i myśli dziewicze,
Wzięłaś na się postawę i piórka słowicze?
Czyli się w Czyscu czyścisz, jeźli z strony ciała
Jakakolwiek zmazeczka na tobie została?
Czyś po śmierci tam poszła, kędyś piérwéj była,
Niżeś się na mą ciężką żałość urodziła?
Gdziekolwiek jest, jeśliś jest, lituj méj żałości,
A niémożeszli w onéj dawnéj swéj całości,
Pociesz mnie, jako możesz, a staw się przedemną,
Lubo snem, lubo cieniem, lub marą nikczemną.

Poczém wyrzekając przeciw cnocie, że ta nawet nieocali człowieka przed śmiercią, że

Nieznajomy wróg jakiś miésza ludzkie rzeczy,
Niémając ani dobrych, ani złych na pieczy,
Kędy jego duch wienie, żaden nieulęże:
Prawli, krzywli, bez braku każdego dosięże.

Miarkuje się jednak, jako Chrześcijanin filozof:

A my rozumy swoje przedsię udać chcemy,
Hardzi między prostaki, że nic nieumiemy.
(*) Wspinamy się do Nieba, Boże tajemnice
Upatrując; ale wzrok śmiertelnéj zrenice
Tępy na to: sny lekkie, sny płoche nas bawią,
Które się nam podobno nigdy niewyjawią.

A w końcu tak się upomina:

Żałości, co mi czynisz, owa już oboje
Mam stracić, i pociechę, i baczenie swoje.

(*) Piękne naśladowanie tego miejsca Ody 3. *księgi I. Horacego:* coelum ipsum petimus stultitia, *do Nieba samego wzbijamy się przez głupstwo*

Ten dobry, nieutulony w żalu Ojciec, w każdém wzpomnieniu, w każdym pamięcią odświéżonym czynie, wysławia chwalebne przymioty swojéj maleńkiéj Córy. Tren dwunasty zawiéra najpiękniejsze zachęcenia i nauki dla dzieci. Kochane dziatki, zachowajcie je w pamięci, a kształcąc się na wzór nieodżałowanéj Córki najlepszego z Ojców, stańcie się, jak ona, godne miłości Rodziców! — Posłuchajcie! przez co mała Orszulka zasłużyła na taki żal Ojca i Matki, a nadewszystko na tę nieśmiertelną pamięć wieków, że ją dziś wspominamy za przykład innym dzieciom. Jakże o niéj mówi dobry Ojciec? Oto, że była ochędożną, posłuszną, karną, niepieszczoną, roztropną, obyczajną, ludzką, nierzewniwą, że nigdy wprzód rano niezawołała pokarmu,

Aż pierwéj Bogu swoje modlitwy oddała.
Nie poszła spać, aż pierwéj Matkę pozdrowiła,
I zdrowie Rodziców swych Bogu poruczyła.
Zawzdy przeciwko Ojcu wszystkie przebyć progi,
Zawzdy się uradować, i przywitać z drogi.
Każdéj roboty pomódz, do każdéj posługi
Uprzedzić było wszystkie Rodziców swych sługi.
A to tak w małym wieku sobie poczynała,
Że więcéj nad trzydzieści miesięcy niémiała.

Poczém dodaje:

Tak wiele cnót jéj młodość, i takich dzielności,
Niemogła znieść: upadła od swojéj bujności:

Żniwa niedoczekawszy, kłosie mój jedyny:
Jeszcześ mi się był niestał, a ja twéj godziny
Nieczekając, znowu cię w smutną ziemię sieję,
Ale pospołu z tobą grzebię i nadzieję:
Bo już nigdy nie wznijdzież, ani przed mojéma
Wiekom wiecznie zakwitniesz smutnémi oczyma.

Ach! jakże niémiał, po takiéj kochanéj Córce rzewnie i długo płakać, jak niémiał wyrzec zasmucony Ojciec tych słów boleści i żalu, téj największéj dobrego dziécięcia pochwały:

Żaden Ojciec podobno bardziéj niemiłował,
Dziécięcia, żaden bardziéj nad mnie nieżałował.
A téż ledwie się kiedy dziécię urodziło,
Coby łaski Rodziców swych tak godne było.

Zgon pospolitych ludzi zasmuca; bo czujemy, że i nam tak zakończyć przyjdzie. Lecz zgon wielkiego męża, a nawet dzieciny, znakomitéj cnotami, z nadzieją rozwijających się pięknych przymiotów, zasmuca głęboko, i długą żałość zostawuje. Taką stratę w Orszuli czuł i opłakiwał ten, którego Opatrzność, jak to zobaczymy, samémi dolegliwościami chciała na tym świecie doświadczać, aby następne wieki, aby ziomkowie Jana Kochanowskiego, w nim mieli wzór piękny wytrwałości i cnoty! Przeéliśmy teraz do najsmutniejszéj okoliczności w życiu naszego Poety. Któryż Ojciec miał odeń słuszniejszy powód żalu i płaczu? Lecz posłu-

chajmy, jak sam przemawia do żony, w Trenie piętnastym:

Niesczęsna Matko!............
Gdzie teraz twych siedm synów, i dziewek tak wiele?(*)
Gdzie pociecha? gdzie radość? i twoje wesele?
Widzę czternaście mogił: a ty niesczęśliwa,
I podobno tak długo nad wolą swą żywa,
Patrzysz na zimne groby, w których, (ach niebogo!)
Składłaś dziateczki swoje, zagubione srogo.

Chociaż w Trenie następującym zdaje się być nieutulony w żalu, gdy mówi:

Pańska ręka mię dotknęła,
Wszystkę mi radość odjęła:
Ledwie w sobie czuję duszę,
A tę podobno dać muszę.
Lubo wstając gore jaśnie,
Lubo padnąc słońce gaśnie:
Mnie jednako serce boli,
A nigdy się nieutoli.
Oczu nigdy nieosuszę,
I tak wiecznie płakać muszę:
Muszę płakać, o mój Boże!
Kto się przed tobą skryć może?

Przecież znajduje pociechę w Religii, téj Niebiance, która na bolesne rany śmiertelnych dobroczynną swoją dłonią sączy gojące balsamy.

(*) *Skądże więc wyczerpnął X. Juszyński tę wiadomość:* że miał tylko sześć córek i syna, który w krótce po śmierci Jego urodził się?— *Zobacz Dykc: Poet: Pol: T. I. stron:* 191.

Życie przyszłe uspakaja rozrzewnioną duszę Kochanowskiego. Wypłaciwszy łzami dług naturze powinny, w następującym Trenie, który jest piękną modlitwą do Boga, poddaje się jego świętej woli, i w tkliwéj pokorze znosi swoje ciérpienie. Niebędzie od rzeczy wypisać Tren wspomniony, abyśmy poznali, jak godnie Ojciec Poetów naszych, przenikniony bystrością Psalmów Dawida, i napojony wielkością jego myśli, odzywa się do Stwórcy Świata, i do Władcy Niebios i Ziemi:

My nieposłuszne, Panie, dzieci twoje,
W szczęśliwe czasy swoje,
Rzadko Cię wspominamy:
Tylko roskoszy zwykłych używamy.
Niebaczym, że to z Twéj łaski nam płynie:
A także prędko minie,
Kiedy po nas wdzięczności
Nieuznasz, Panie, za Twe życzliwości.
Miéj nas na wodzy, niech nas nierozpycha
Doczesna roskosz licha.
Niechaj na Cię pomniemy,
Przynajmniéj w kaźni, gdy w łasce niechcemy.
Ale Ojcowskim nas karz obyczajem:
Boć przed Twym ogniem stajem:
Tak jako śniég nisczeje,
Kiedy mu słońce niebieskie dogrzeje,
Zgubisz nas prędko, wiekuisty Panie,
Jeśli nad nami stanie
Twa ciężka Boska ręka:
Sama niełaska jest nam sroga męka.

Ale od wieku Twoja litość słynie:
A piérwéj świat zaginie,
Niż ty wzgardzisz pokornym:
Chocia był długo przeciw Tobie spornym.
Wielkie przed Tobą są występy moje;
Lecz miłosierdzie Twoje,
Przewyższa wszystkie złości.
Użyj dziś, Panie, nademną litości.—

Ale ktokolwiek masz czułe serce, czyliż niezapłaczesz nad Ojcem, który po wyczerpaniu, że tak powiem, smutku i żałości, i wszelkich sposobów pociechy, jescze po zgonie pieści się we śnie z najmilszą swoją dzieciną, i tak się nią zajmuje:

Żałość moja długo w noc oczu mi niedała
Zamknąć, i zemdłonego upokoić ciała.
Na tenczas mi się Matka właśnie ukazała,
A na ręku Orszulę moję wdzięczną miała;
Jako więc po paciorek do mnie przychodziła,
Skoro z swego posłania rano się ruszyła.
Giezłeczko białe na niéj, włoski pokręcone,
Twarz rumiana, a oczy ku śmiéchu skłonione:
Patrzę, co dałéj będzie, aż Matka tak rzecze:
Śpisz Janie? czy cię żałość twoja zwykła piecze?
Zatémem ciężko westchnął, i tak mi się zdało,
Żem się ocknął. A ona pomilczawszy mało;
Znowu mówić zaczęła: Twój nieutulony
Płacz, Synu mój, przywiódł mię w te tu wasze strony,
Z krain bardzo dalekich: a łzy gorzkie twoje,
Przeszły aż i umarłych tajemne pokoje.
Przyniosłam ci na ręku wdzięczną dziéwkę twoję,
Abyś ją mógł oglądać jescze, a tę swoję

Serdeczną żałość ujął. która tak ujmuje
Sił twoich, i tak zdrowie nieznacznie twe psuje.
Czyli nas już umarłe macie za stracone,
I którym już na wieki słońce jest zgaszone?
A my owszem żywiemy żywot tym ważniejszy,
Czym nad te grube ciało duch jest ślachetniejszy.
Ziemia w ziemię się wraca: a duch z Nieba dany
Miałby zginąć, ani na miejsca swe wezwany?
Oto się ty niefrasuj: a wiérz niewątpliwie,
Że twoja najmilejsza Orszuleczka żywie.
A tu więc takim ci się kształtem pokazała,
Jakoby się śmiertelnym oczom poznać dała;
Ale między Anioły, i duchy wiecznémi,
Jako wdzięczna jutrzenka świeci; a za swémi
Rodzicami się modli: jak to umiała
Z wami będąc: choć jescze słów niedomawiała.

Ta tylko bogobojna powolność, to poddanie się Wyrokom Nieba, mogło go uchronić od ostatniéj rozpaczy.— Będąc bowiem wzorem cnót wszystkich, wzorem Ojców i Mężów, po stracie opłakanéj wszystkich swoich dzieci, płakać musi jescze nad zgonem najlepszéj Żony i Matki, najcnotliwszéj swojéj Anny, któréj ukochanym cieniom łzy najtkliwsze i Pieśń żałobną poświęcił. W niéj te poruszające słowa czytamy:

Równéj podobno rozum radzić może szkodzie,
Ale jaka jest moja niezdoła przygodzie.
Dziatkiż mnie cieszyć mają, czy żona cnotliwa?
I dziateczki Bóg pobrał, i Matka nieżywa.

Jak gdyby niedosyć było tych ciosów; jescze dochodzi wiadomość tego niesczęśliwego Mę-

ła i Ojca, że Podlodowski, brat żony jego zginął od Kozaków. Zalany łzami, osierociały Kochanowski, opuscza po raz ostatni, niestety! swój dom ojczysty, błogie acz smutne siedlisko, w którém tylu strat bolesnych dożył, i udaje się śpiesznie za Królem Stefanem Batorym, do Lublina, aby, obżałowawszy śmierć krewnego, błagał sprawiedliwości Monarchy, o ukaranie zabójców. Ale przepełniona żałość bolejącéj duszy Poety, z tak okropnego przypadku, niepozwoliła mu doczekać się chwili, w któréjby przed swym zgonem oglądał oblicze wielkiego Króla Bohatyra, i sprawiedliwy jego Wyrok usłyszał. Apopleksyją tknięty umarł nagle Mąż wielki, którego Niebo wzorem nauki, wzorem cnoty i wielkości duszy mieć chciało (*).

Miło jest zapusczać się w najdrobniejsze sczegóły życia znakomitych ludzi, każdego narodu i wieku; ale tém miléj rozpamiętywamy sławę i czyny Rodaków, choćby téż mniéj ważne: a kiedy jescze zawiérają w sobie wielkie i pa-

(*) W Zwoleniu miasteczku narodowém, Województwa Sandomiérskiego, w małym kościołku, na lewéj stronie kaplicy, fundacyi Kochanowskich, spoczywają ostatki Jana Kochanomskiego, tam znajduje się jego marmurowy nagrobek. Zobacz: Opis Wdztwa Sandomiérskiego, w Kalendarzyku polit: na rok 1823. umiesczony.

miętne przestrogi, rozum zasila się ich nieocenionym skarbem, a serce bije najzbawienniejszém wspomnieniem.

Prześliśmy życie Kochanowskiego, jako Poety i Ojca rodziny, uważaliśmy go, jako człowieka, teraz go uważajmy jako Obywatela. Szacunek ziomków ma za początek i źródło miłość Ojczyzny. Kto się jéj chlubnie zasłużył, tego nagroda nieminie; a nawet na najniższym stopniu dostojeństwa, nawet w zaciszu ustronia, dojdzie go odgłos wdzięczności, znajdzie uwielbienie powszechne. Zasłużył sobie na nie Kochanowski sławą Poezyi, zasłużył nadewszystko przykładném obywatelstwem. Zostawszy za zgodą spółbraci Wojskim Sandomierskim, był Ojcem rodzin ziomków, prawdziwym i szczérym doradcą ich małżonek, obrońcą siérót, uprzejmym dobroczyńcą podupadłych i biédnych. Szczupła jego ojczysta fortuna, którą powściągliwém życiem i uczciwym zachodem znacznie powiększył, dostarczała mu tyle, że mógł dogodzić potrzebie tkliwego serca, i wspiérać w istocie. O dusze ślachetne! — Wy tylko znacie tę cudowną sztukę, że przy niewielkich dochodach, i sobie życie wygodne zapewnić umiécie, i bliznich ratować.

Chcemyli w Kochanowskim przymiotów dobrego i łaskawego Pana? Nieomyli nas oczekiwanie

domyślne. Znajdziemy w nim wszystko, co go robiło Ojcem poddanych dziedzicznéj włości. — Znajdziemy w nim obraz Pana, którego Delil o tyle lat późniéj w Ziemiaństwie swojem wystawił. Umiał zaradzać potrzebom i nędzy swoich wieśniaków, cieszył się z ich wesołości i szczęścia, a smucił przygodami ich stanu. Podzielał z nimi radość i ochotę, i lubił ich niewinne zabawy. Nieraz wyprawiał swoim ludziom okrężne, wtedy obok lubéj Małżonki, przypatrywał się z nadzwyczajnie wygodzoném okiem ich tańcom, i przysłuchiwał ich śpiewom. Często owa mała Orszulka, bawiąc się na ręku Matki, rozrywała go wdziękiem anielskiéj twarzyczki, że się jéj podobało to wszystko, i pobudzała Ojca do miłego uśmiéchu. Mamy ślad w jego dziełach, jak zwyczaje i obyczaje wiejskie mocno zachwycały, unosiły jego serce, jak zapalały wiesczego ducha Poety. Komuż się niepodobają pieśni Świętojańskie o Sobótce, które śpiéwa dwanaście panien? kto z prawdziwą lubością i słodyczą nierozważał pieśni dwunastéj: *Wsi spokojna, wsi wesoła, który głos twéj chwale zdoła?* W niéj odmalował Kochanowski rozkoszne zatrudnienia i niewinne zabiegi rolnika; w niéj wydał razem w najpowabniejszych farbach, i z ujmującą prostotą, obraz uczuć własnych.

Nigdy go nieodstępowała skromna wesołość. Zwyczajem przodków był gościnny i ludzki. — Miał prawdziwych przyjaciół w sąsiadach; bo dla każdego z nich był wylanym i szczérym. Jakimże to niepojętym sposobem prowadził życie Ojciec Poetów naszych, że go nawet zazdrość niedotknęła? Wszakże nieznamy nieprzyjaciół jego. A to iest największym dowodem, że cnota skromna i przestająca na sobie, we wszystkich budzi cześć i poszanowanie. Znając siebie i swoje zasługi, mówi z pewnością o hołdzie i wdzięczności, jakiej się od potomnych wieków spodziewa. Wielcy ludzie niewahali się wyprzedzać sąd wieku swojego: a to wyznanie było wyznaniem prawdziwéj wartości i znamieniem górnego jenijuszu. Przekonanie o sprawiedliwości następnych pokoleń, osładzało niewczasy i bezsenność tylu sławnych Mężów. Stąd i nasz Kochanowski mówi w wierszu *do Muzy:*

Jednak mam tę nadzieję, że przedsię, za laty,
Niebędą moje czułe nocy bez zapłaty.
A co mi za żywota ujmie czas dzisiejszy,
To po śmierci nagrodzi z lichwą wiek późniejszy.

Uwieczniając w pieśniach Bohatyrów Polski, uwieczniał razem sławę imienia swojego, a w potomkach, drogiém wspomnieniem cnót i męztwa przodków, rozniecał ślachetny ogień ubiegania się ich śladem o nieśmiertelność i sławę. O jakże za-

chwycał Poeta dzwiękiem boskiéj lutni bohatyrskie dusze Rodaków, gdy im opiéwał ich dzieła, gdy im wystawiał wielkość Ojczyzny, która była owocem ich dzielności i trudów?— Jakże wtedy zapala się natchnieniem, gdy go sława Bohatyra unosi? Wszystko, co ojczyste, z niewymowną radością ogłasza. Czytajmy świętny początek wiérsza do Krysztofa Radziwiła, a przekonamy się o tém:

Jako więc orzeł młody, na gniaździe wysokiem,
Siedząc, za ojcem patrza niespusczoném okiem,
Kiedy, abo wysoko buja pod obłoki,
Abo prędki zwiérz goni, i drapiéżne smoki,
Aż się i sam zaczasem wylecieć ostraszy:
A oto na cień jego wszystek rodzaj ptaszy,
I polne uciekają stada; ten swéj broni
Jescze nic prawie świadom, bez obrazy goni,
Skrzydłami pogładzając po grzbiecie piérzchliwym,
A potém zajuszony i sam żywie żywym.
Tak, Ty, przypatrując się ojcowskiéj dzielności,
O zacny Radziwile, za piérwszej młodości
Myśliłeś zawdy sławy domowéj poprawić,
I o miłą Ojczyznę śmiele się zastawić,
Aniś, Ty, wieku czekał słusznego do zbroje,
Piérwéj dzielność dojrzała, niźli lata Twoje.

Kto tak pisał, tego serce ożywiała najczystsza miłość Ojczyzny, ten był prawdziwym Bardem przeszłości, a jego lutnię uwieńczały wawrzyny i róże. Jakże narodowym, jak zachwycającym jest Kochanowski!— Sczęk zbroi budzi go do

pieśni: porywa lutnię, i z zapałem przelewa w piersi rycerskie swój ogień; śmierć za lubą Ojczyznę, do któréj obrony boskiémi pieniami zachęca, staje się słodyczą, chwała jest milszą i powabniejszą, gdy ją śpiewa Bard Polski, albo gdy do niéj wśród bojów drogę pokązuje. Powstańcie, Wy Cienie Bohatyrów naszych! i dajcie świadectwo tym słowom, któremi odnawiając pamięć Wiescza Waszego, odnawiam razem w sercach potomków najmilsze wspomnienia Waszéj wielkości i chwały. Czas, na szybkolotnych skrzydłach, uniósł dwa wieki przeszłości, dwa wieki pięknéj przeszłości! dwa wieki, które były świadkami kolejnych trofejów, niescżęść i przemijającéj wielkości: ach! cóż się mu oprze, czegoby niepokonała dłoń jego żelazna! Lecz mylę się, przejęty uczuciem boleści i żalu! Na mogiłach Przodków, obok posępnych mirtów, rozgałęziły się i wzrosły odwieczne laury ich sławy: cienie naddziadów, poglądając z uwieńczonym Bardem, na wdzięcznych potomków, których zwycięzkie dłonie posadziły te laury, uśmiechają się błogo i cieszą. Każde wspomnienie Mężów, których imiona splecione są z ich imionami nieśmiertelności przepaską, wypłaca przeszłości najpiękniejszy hołd i uwielbienie.— Niezapominajmy tak niewinnym sposobem rozetlać w sercach naszych ognia i zapału, którego ta prze-

szłość

złość jest godną; jest on żywiołem wielkich i ślachetnych czynów. Szanujmy przodków pamiątkę; jest ona zarodem i hasłem prawdziwéj miłości Ojczyzny. Za nię płynęła ich krew ślachetna, za nię w burzach bitew niesczędzili życia. Bóg, po nim zaś Król i Ojczyzna, były to ich godła najświętsze, a Bard, w nieśmiertelnych pieniach, uwieczniający ich dzieła, i znoje dla lubéj Ojczyzny, zyskiwał miłość i poklask. O jakże chwalebną jest Poezyja, w tak pięknym celu użyta! Niemiękczył nią Kochanowski serc wielkich Mężów przez miłosne jęki Amora; jego pieśni opiéwały czystą i wstydliwą miłość; ale męzkiémi pieśniami budził w nich miłość Ojczyzny i chwały, albo opiéwał zwycięztwa. A czyli to przestraja lutnię na ton Dawida, aby śpiéwał dzieła Najwyższego, czyli ulża bolejącéj duszy swojéj, po stracie najlepszéj Córy, w trenach melancholicznych i słodkich, czyli Sławiańskiéj Muzie przyswaja Pindara Rzymskiego, czyli nakoniec natchniony, uwiecznia Rodaków bohatyrskie czyny, zawsze uczuciami bogobojności, prawości i cnoty oddychają słodkie jego rytmy, zawsze mowę ojczystą, do najtajniejszych przybytków piękności Poezyi, mistrzowską ręką wprowadza.

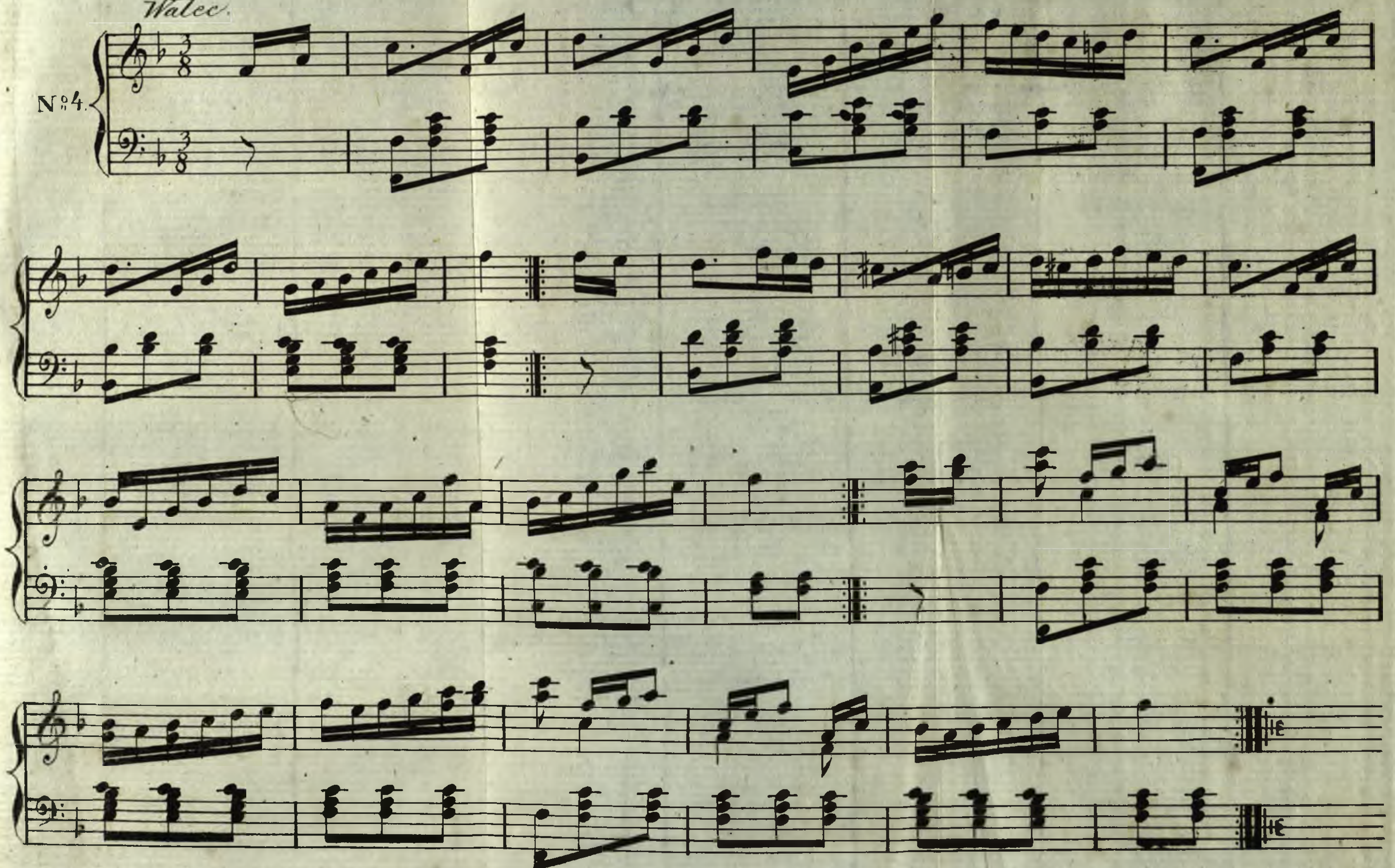
Nieśmiertelny Cieniu! zachwyceni wdziękami twéj lutni; nieprzestaniemy pielęgnować w ser-

cach najtkliwszego hołdu dla twojego imienia, i uczuć, które najskromniej podałeś, jako wzór pokoleniom następnym, przez te złote słowa, brzmiące w ustach, i wyryte na sercu każdego poczciwego człowieka:

Cnota skarb wieczny, cnota klejnot drogi:
Tegoć niewydrze nieprzyjaciél srogi,
Niespali ogień: niezabierze woda;
Nad wszystkiém inném panuje przygoda.

Walec.

N.º 4.



(Ner. 5.)

DZIEDZILIJA

CZYLI

Pamiętnik Płocki,

pięknéj Literaturze poświęcony.

Pismo peryjodyczne dla użytecznéj zabawy Rozumu i Serca.

Miesiąc Listopad Rok 1824.

Wolno drukować.

J. K. SZANIAWSKI,

Rad: Stanu Dyr: Jlny Wych: Publicz:

SPIS RZECZY

w Numerze 5. zawartych.

Do tego Numeru przyłączony jest Walec Fr: Weckiego.

O MIKOŁAJU SĘPIE SARZYŃSKIM.

O Poecie tego nazwiska niema żadnéj wzmianki w historyi Literatury Polskiéj. X. Juszyński w Dykcyjonarzu Poetów Polskich, w Tomie II. taką o nim podaje wiadomość, z kroniki Bielskiego: „Szarzyński Mikołaj Sęp, herbu Junosza, który, by był doszedł lat swoich, byłby z niego Poeta znamienity Polski, umarł roku 1581., leży w Przeworsku.” Tamże powiada Autor, że poezyi jego, drukiem osobno ogłoszonych, nigdzie śladu nieznalazł. Więc podług tego wnieśćby można, że mało pisał młody nasz Poeta, a może dla wczesnéj śmierci nic niewydał, i tylko niektóre jego wyimki, porozrzucane w innych dziełach mamy. Ale cieszmy się przecie nieocenionym wynalazkiem jego, aczkolwiek szczupłego dziełka poetyckiego; bo podobno tylko z cztérech arkuszy, gockim drukiem złożonego, wydanego r. 1601. w Krakowie; sam go niewidziałem. Udzielono mi tylko z niego kilka wyimków. Przepraszam naprzód szanowną Osobę, od któréj do

mnie przeszedł pośrednio, ten skarb nieoszacowany. Dotąd, jak mi wiadomo, jeden tylko exemplarz poezyi Szarzyńskiego odkryty został, a o tym Poecie, tak jak o wielu innych wybornych, mało kto wié dotąd. Przeto dla obudzenia chęci poszukiwania, nietylko tego dziełka, ale i innych podobnych, wypada wszystkim oznajmić jego nadzwyczajną rzadkość. Ażeby zaś wiedzieli, jakiego skarbu pilnie śledzić mają, te im wyjątki podamy.

Z Pieśni I. na Psalm Dawidów XIX.

Narodzie, głupią nadzieją chlubliwy,
A błędom zmyślnym wierzyć uporczywy,
Mnóstwem gwiazd ślicznych Niebo ozdobione
Obacz, a zmysły wzdy oświéć zaćmione.

Poznasz, że mądrym, że jest wiekuistym,
Pan, co ma pałac na sklepie ognistym,
W którym zawiesił i wietrzne próżności,
I możną wodę wzniósł z ziemnéj ciężkości.

W pewne godziny dzień nocy cieniowi,
W pewne godziny noc z stępując dniowi,
Świadczą swym biegiem, tak porządnie zgodnym,
Że nie trafunkiem świat stanął przygodnym.

O dwie strofy daléj tak śpiéwa, naśladując świętego Psalmistę, w poezyi pełnéj ognia i mocy:

Kto się, gdy nieba chmura niezakrywa,
Patrząc na jasnych gwiazd blask niezdumiéwa,

Abo, gdy światłem uderzy go w oczy,
Słońce, ognistym gdy się kołem toczy.

Które, gdy z łoża powstanie swojego,
Jak oblubieniec obleczon z sczerego
Złota ubiorem, a wieniec z kamieni
(*) Kosztownych sprawion, głowę mu promieni.

Daléj o słońcu tak się wyraża Poeta:

Od wschodu bieżąc, aż tam gdzie powstawa,
Noc ciemna gwiazdom światłości dodawa,
(**) I, co iest kolwiek tu na niskiéj ziemi,
Wspładza, i żywi promieńmi swojemi.

W następującéj strofie jest bardzo piękna przenośnia, wydana męzką poezyją:

Twe przykazanie oczy nam zabawia
Wdzięczną radością, i sczérą ustawia

(*) Gdyby niespracowany Autor Słownika Polskiego znał był tego Poetę, miałby z powyższéj wrótki piękny przykład na słowo promienić, *które ma za niéjakie, sądząc po tym przykładzie, jaki przytoczył. Lecz tu pokazuje się, że jest słowem czynnym, kiedy tak dobry Poeta, jak Szarzyński, mówi:*

A wieniec z kamieni
Kosztownych sprawion, głowę mu promieni.

Trafnie więc słowo promienić *odpowiada łacińskiemu* radiare. *A może być i dokonane* upromienić.

(**) W téj strofie wyraz cokolwiek *przez rozłącznią (per metatesin), tak jest użyty, jak jemu odpowiadający łaciński* Quodcunque *w Horacyjuszu i innych.*

Panie, twą chwałę, któréj nienaruszy
Starość, co zębem stalnym wszystko kruszy.

Pieśń II. na psalm Dawidów 52. co do mocy i przyjemności nieustępuje najpiękniejszemu przekładowi Karpińskiego, a śmiałości, z jaką się Poeta odzywa, w tak poważnym przedmiocie, towarzyszy bystre i płynne wysłowienie. Oto jest cała pieśń wymieniona, w któréj nie tyle wartości do zewnętrznych ozdób, jak do wewnętrznego znaczenia przywięzywać potrzeba.

Czemu się chlubisz, tyranie,
Z twoich praktyk złością możnych?
Pańska dobroć nieustanie,
Pilnować ludzi pobożnych.

Ostrzejszy nad zaostrzoną
Brzytwę, język twóy pilnuje
Nieprawdę zmyślać szaloną,
I na dobre potwarz knuje.

Milszać złość, niż cnoty święte,
Milszyć kłamca, niż prawdziwy,
Rade oko twe przeklęte
Patrza zdrady zaraźliwéj.

Przetoż cię Pan Bóg wyrzuci,
Z pośrodka ludu swojego,
Starłszy cię na proch, wywróci
I dom twój zgruntu samego.

Na to patrząc ukrzywdzony
Zlęknie się Pańskiej możności,
A iż nagle zły skażony,
Rozśmieje się w przespieczności.

Rzecze: anóż on, co w złości
Ufał w mocy, w chytréj sprawie
Z płaczliwych się śmiał w kłopocie,
Zapomniawszy Boga prawie.

A ja drzewo jak oliwy,
W Ogrodzie Pańskim wszczepiony,
Kwitnąć będę nielękliwy,
W nadzieje z Nieba obrony.

A Ciebie przed wszemi, Panie,
Wyznam skazcą nieprawości,
I mając w tobie ufanie,
Zniosę wszelkie doległości,

Pisał także Mikołaj Szarzyński wesołe Poezyje, które nazwał pieśniami miłośnemi. Czytelnikom naszym spodziewamy się zrobić przyjemność, umieszczając tu w całości jednę z takich, pieśni, w któréj młody Poeta, godnie śpiewa na pochwałę ich Matek, słynących powszechnie z piękności.

DO CYPRYDY.

Zaprzęż nie tygry, nie lwice, Cyprydo,
W złoty wóz, parę białych, niech Kupido
Gołębi, lecem jedwabnym peżenie,
Przez chmurne cienie

Opuść na chwilę Ankon ulubiony,
I Cypr wesoły, tobie poświęcony,
Spuść się nad Wisłę, obacz naszą ziemię,
Tak śliczne plemie.

Pięknych przymiotów i w dzięcznéj urody,
Która bez waszéj Trojańskiéj niezgody,
Rychléjby klejnot odniosła piękności,
A przez zazdrości.

Jak Hebe jasna jest między gwiazdami,
Tak twe wspaniałe, Panno nad Pannami,
Są obyczaje, z natury przyrodne,
Ozdoby godne.

Jeśli iest cnota, godna chwały wszędzie,
Tedy twa lutnia ciebie sławić będzie,
I wiersz mój śpiéwać, to jest tobie kwoli
Serce mię boli.

Piękna jest i następująca do Panny Jadwigi Tarłownéj, w niéj ta myśl sczególniéj zastanawia:

Mniejsza od ciebie Pallas w obyczaje,
(*) W każdéj twéj sprawie Harydę znać daje.
I zdumiéwa się Helikon uczony,
Gdy lilijaną ręką bijesz w strony.

Jego Epigramata w ogólności oddychają naturalnością i ujmującą niewinną prostotą. W nich

---

(*) Harys bogini wdzięków po grecku, u Rzymian Gracyja.

to szczególniej zachwyca owo niewinne zaniedbanie, owa dowcipna lubość myśli i stylu, zwana od Francuzów *le naïf*, którą niewiem czy zgodnie z prawidłami języka naddziadów, niedawno bardzo *naiwnością* przezwano. Aby się i o tém przekonać, wypiszemy niektóre z tych Epigramatów.

Drugi nagrobek Marcinowi Starzechowskiemu, dziecięciu jeno 30. godzin żywemu.

Długa nadzieja, radość krótka, żał płaczliwy
Rodziców moich, leżę tu przedsię szczęśliwy,
Żem niepoznał nadzieje, radości, kłopota,
Podan niebacznéj śmierci na progu żywota.

Trzeci temuż.

Prędkoś ten świat odmienił, przecz? zgadniemy sami,
Żeś był przywykł Aniołom, zecniłoć się z nami.
Słusznie: widząc ludzki, błąd i krótkie tu mienie,
Wróciłeś się, skąd wiedziesz piérwsze pokolenie,

Dawniéj wywodzono z herbów dziwne analogije i koncepta. Rzadko kiedy udawały się podobnego rodzaju napisy. Zobaczmy, jaki zrobił nasz Poeta: na herb Półkoza *alias* Oślagłowa.

Pijane sługi, dzieciom swym pokazowali,
Spartanie, chcąc by sprosność pijaństwa w czas znali;
Mądrze poznanéj wady, w swym kształcie prawdziwym,
By się niestrzegł, i będzie kto tak niebaczliwym?
Toż chciał (mniemam) w pierścieniu, co dał oślej głowie
Miejsce najprzód: by głupstwa sprosność potomkowie,
Na ten znali herb patrząc, mądrość mieli w cenie,
I dokazał, tak, jako niesie me baczenie.

Pannie Zofii Kastezance, Woiewodzance Sandomirskiéj, która piérwéj zachorowawszy, późniéj trzema dniami, niż macocha, umarła.

Napis.

Zwyczaje, dom, urodę, kiedym była żywą,
Kto znał moje, musiał mnie sądzić za szczęśliwą,
I samam na fortunę narzekać nieśmiała,
I na onczas, gdym wdzięcznej Matki postradała.
Bowiem Ojciec niedał znać sieroctwa i trochę,
Potrwawszy, równą Matce dał mi Bóg macochę.
Comto rzekła? Macochać była: w tym znać dała,
Trzech dni do Nieba idąc czekać mnie niechciała.

Drugi.

Czemu zwyczaj zmieniła, rzekła, gdy poznała
Kostezanka śmierć Macochy i sama konała,
Przed tobą ja chodziła, i zjęta chorobą,
Przed tobą, droga Matko, przecz konam za tobą?
Czy mi chcesz być przewodnią, niebyło potrzeba,
Wiem ja z twojéj nauki, gdzie droga do Nieba.

Na śmierć Pani Wojewodziny Sendomirskiéj, Zofii ze Sprowa, Odrowężównéj Kostezynéj, która umarła 1580. w Lipcu.

Skoroś poszła do chwały, którąć Bóg zgotował,
Kto był, kto twego zejścia z ziemi nieżałował?
Dalekie nieznajome taż żałość strzesktała (*)
Płakałby nieprzyjaciel, aleś go niemiała.

(*) Strzesktać słowo dokonane od trzesktać, albo tresktać, treskać, trestać, trektać; znaczy tu trapić, dręczyć.

Widać z roku śmierci i wydania Dziełka Poety, że dopiero we 20. lat po zgonie jego drukiem ogłoszone było. Co za szkoda dla Literatury, że go śmierć tak wcześnie wydarła żyjącym! Albowiem, biorąc miarę z tego, czém już był, w tak młodym wieku, jakkolwiek ma miejsca niepoprawne, wnieść można, jaką byłby ozdobą i zaszczytem Polskiego Parnasu, kiedy jego dotąd wynalezione Poezyje odznaczają się tyłą pięknościami.

ŚMIERĆ WDOWY PO BIRONIE, MARSZAŁKU FRANCUZKIM,

(z Niemieckiego.)

W okolicy Amiens znajduje się piękny zamek, należący niegdyś do Wdowy po Bironie. Tu się ona po śmierci męża schroniła; w tém zaciszu od lat dwudziestu, odosobiona niejako od reszty świata, żyła świętobliwie, jak Matka pod-

dannych. Pełnienie obowiązków religijnych, staranie o domownikach, którzy się po części przy niéj zestarzeli i posiwieli, ujmująca dobroć względem poddannych, którzy ją nazywali opiekunką całey okolicy, a w reście wychowanie wielu opusczonych i osieroconych dziatek, zapełniało jedynie spokojne chwile jéj życia: w nich jeden dzień podobny był drugiemu, jeden rok podobnie jak drugi upływał, wtedy nawet, gdy okropna Rewolucyja, Francyją zaburzać i pustoszyć zaczęła. Z każdym dniem powiększało się niebezpieczeństwo dla niéj, równie jak dla wszystkiey ślachty, nalegano powszechnie, aby z innymi za Ren ujechała: ona zaś stale utrzymywała: że niewié i wiedzieć niechce o niczém, cokolwiek przechodzi ten obwód, gdzie się Bogu i ludzkości poświęca, że żyjąc, jak przystało, w nic się niewdaje i nieobraża nikogo; a przeto Bóg jéj nieopuści, a ludzie zostawią ją w pokoju. Jednak dwaj krewni uprowadzili ją z jawném niebezpieczeństwem do Koblenc, gdzie była zasczytnie przyjętą: ale różne okoliczności, a nadewszystko ciągnienie wójsk obcych przeciw jéj Ojczyźnie, do tego stopnia oburzyło serce dobréj staruszki, że we trzy tygodnie, pomimo wszelkich przedstawień, do zamku swojego wróciła. Działo się to na wiosnę roku 1790.

Z głośnémi okrzykami, które tylko widok jéj

szanownéj osoby przytłumiał, była przyjętą od swoich poddannych. — Wszyscy przysięgli pomiędzy sobą, jeżeli potrzeba nastąpi, poświęcić w jéj obronie majątek i życie.

Tak z nowu w cichości prowadziła życie pobożne i dobroczynne, wpośród scen zgrozy i mordów, jakoby w łonie spokojności, dopóki śledzące oko Tygrysa Francyi, krwawego Robespijera, nienatrafiło i na jéj nazwisko w owych listach śmierci i rzezi. Deputowany Diumą (Dumont) znajdował się właśnie w Amiens, i pełnił tam obowiązki włożone na siebie od Rządu. Jemu przysłał Robespijer własnoręcznie podpisany rozkaz, aby z innymi wielu uwięził wdowę po Bironie, i trzymał ją pod strażą w Amiens, aż do dalszych rozrządzeń. Diumą niemógł tego przenieść na sobie, doniósł w tonie, w którym naówczas trzeba się było odzywać każdemu, kto ujść chciał podeyrzenia: że niewarto, ażeby dzielni Republikanie kłopotali się o tę starą babę; a nadto, że jéj uwięzienie bez wymienienia powodu dałoby hasło do powstania ludu, który w tém ułomném stworzeniu, Matkę swoję widzi. Robespijer, który nigdy nielubił przedstawień, wniósł to na zgromadzenie narodowe, a Diumą, oprócz mocnego napomnienia, otrzymał surowy rokzaz, aby natychmiast wdowę po Bironie do Amiens sprowadził. Teraz Diumą nieśmiał się dłużéj opié-

rać, w obawie o własne bezpieczeństwo i utratę wpływu. Aby jednak rozkaz, ile możności przyzwoicie wykonać, napisał sam do Bironowej z prożbą, żeby się udała do miasta, posłał także swego Sekretarza z poleceniem, aby o niej miał pamięć, aby jey towarzyszył, i o tém ją zapewnił, że jéj podczas uwięzienia na potrzebnych wygodach zbywać niebędzie. Wyrzekła ona do Sekretarza jedynie te słowa: „Bóg się mną opiekuje."— Kazała ułożyć najpotrzebniejszą bieliznę i suknie, i była gotową do drogi. Lecz od rozpaczających domowników, dowiedzieli się o tém wieśniacy. Wszyscy tłumnie się ześli; rzucili się przed jéj nogami na ziemię, tak, że iść niémogła, grożono Sekretarzowi, że padnie trupem, jeśli przemocy użyje: wszystkie upominania staruszki były daremne. Sekretarz niémógł znieść tego widoku, udał się więc do sposobów. Oddalę się, rzekł, Pani! ale proszę Cię, daj rękę, że aż do dalszego wyroku stąd się nieoddalisz. W milczeniu, z łagodnym uśmiéchem, wskazała staruszka na swoje drżące kolana: i podała mu rękę. Diumą raz jescze napisał za nią do zgromadzenia narodowego, i podał ten środek, aby w swojéj majętności pod dozorem została: sam nawet ręczył za jej spokojność. Odpowiedź, jaką niezwłocznie odebrał, była w tych słowach: „ „Masz natychmiast przez siłę woyskową, a jeśli

„ trzeba, nawet gwałtem sprowadzić wdowę po
„ Bironie do Amiens." Wtedy Diumą posłał do
zamku Sierżanta z sześciu Żandarmami, i prosił
listownie Bironowéj, aby się nieopiérała; że rę-
czy własném za jéj życie. Była posłuszną, lecz
wieśniacy oparli się przemocy. Ani prośby téj
Pani, ani pałasze Żandarmów niémogły niczego
dokazać. Siła zbrojna była odpartą, a wieśnia-
cy obsadzili wszystkie przystępy do zamku.

Diumą posłał gońca do Paryża z donięsieniem
o tym wypadku i dodał, że: jeżeli to nie go-
dném śmiéchu, to przynajmniéj nie warto za-
chodu, aby dla jednéj staréj kobiéty, wzniécać
małą wojnę domową. Lecz Robespijer niedał
się przekonać. Jenerał Lobadern (Laubadern),
Dowódca wojska w mieście Amiens, otrzymał
rozkaz, Bironową, i wszystkich opór czyniących
uwięzić, i pod utratą głowy do Amiens sprowa-
dzić. Jenerał na czele trzechset ludzi, a nawet
z jedném działem, udał się osobiście na miejsce.
Wieś została obsadzoną, ktokolwiek się opié-
rał, był zabity, lub wzięty, ale straże przed po-
kojami ukochanej Pani swojéj zbrojnie się stawiły.
Chcą cię zamordować, wołano; lecz wprzód za
ciebie zginiemy, ze stratą nieprzyjaciół twoich
Tu stanęła Matrona pomiędzy niémi, z niepojętą
godnością: Uciszcie się, rzecze, i miejsce dla mnie
zostawcie! Natychmiast rozdzielili się na dwie

strony, w cichości przeszła, i podała rękę Jenerałowi—. „Prowadź mię, gdzie ci się podoba,” te były jéj słowa, nielękam się śmierci: ale ochroń tych przyjaciół moich, których jedyném przestępstwem jest, że mnie kochają. Tu osłabła zupełnie na siłach: Jenerał porwał ją z dzikością i groźbą, i sprowadził ze schodów, kazał wszystkich znalezionych w zamku uwięzić, a niesczęśliwa, omdlała Staruszka z innymi, podczas najmocniejszych upałów d: 28. Czerwca 1794. roku pieszo do Amiens prowadzoną była. Tymczasem Diumą, o tak wygodny pokój w więzieniu, postarał się dla niéj, jak tylko okoliczności na to pozwoliły. Sam ją przyjął i posilił, gdy była prawie na pół martwa z utrudzenia na umyśle i ciele. Za nią udało się dwudziestu trzech jéj poddanych i sług, po dwóch w parze, mając ręce w tyle pokrępowane, i z nią ich razem w jednémże miejscu zamknięto. Rzucili się na kolana i wzywali miłosierdzia, nie dla siebie, ale dla swojéj dobréj Pani. We dwanaście godzin porwano ich do Arras, i tam siedmnastu ścięto gilotyną. Piątego dnia przyszedł rozkaz od Roberspijera, aby natychmiast Bironową zaprowadzono do Paryża. Wiedział Diumą, że ją tam nieochybna śmierć czekała, napisał, że staruszka niemoże odbyć podróży, żeby jéj dozwolili jescze parę tygodni czasu, a tak osczędziłoby się i

niepotrzebnego badania, i kat, ktorego ręce są w tych czasach najwięcej zajęte, zyskałby wiele czasu. Poczém sam dostał rozkaz, aby się stawił przed zgromadzenie narodowe i bronił; a na jego miejscu Prezydent miasta, pod utratą głowy miał sobie zlécone, przy mocnéj straży do Paryża wysłać Bironową. Tak się téż stało.

Natychmiast stawiono ją przed rewolucyjny Trybunał, gdzie jéj zadawano wielkie mnóstwo pytań, których prawie w ogóle pojąć niemogła. Zdawało się jéj, że słyszy nowy język, chociaż to były wyrazy ojczyste. W istocie przywykła do delikatności Dworu francuzkiego, byłaż w stanie z rozumiéć tę dziką mowę rewolucyi, pełną przewrotnego znaczenia, i wyszukanych zwrotów, mowę pozbawioną czucia, mowę tych wyrachowanych rozbójników, którzy sobie ze krwi ludzkiéj, ze wszystkiego, co Boga, co ludzkość obchodzi, obmierzłą igraszkę czynili! którzy umyślnie dla tego ciemno przemawiali, aby lud odurzony trzymać w okropnęm strętwieniu, ofiary swoje w osłupieniu i grozie, a cnotliwych, którzy uszli ich miecza, trwogą odstraszać od rozbierania ich morderczych planów. Staruszka nieodpowiadała więcéj nad słowa: „nierozumiem! „niewiem o tém wszystkiem"—Zgodnie przeto z prawdą niemogli ustanowić na nię Sądu właściwego, i ani się jeden świadek nieznalazł, któ-

ryby coś podobnego do skargi powiedział.

Wtedy ów okropny Fukije (Fouquier), dający sobie nazwisko honorowe powszechnego Skarżyciela, zwrócił na nię uwagę; za pomocą niepojętéj sztuki wytrawionego zbrodniarza, ułożył przeciwko niéj mowę pełną szumnobrzmiących wyrazów, i zdań ciemnych, poczém nieszczęśliwą, która jednego słowa niepojęła, wezwano, ażeby się broniła. Tu znowu odpowiedziała to tylko: „ że nic nierozumié, i że ją boli, gdy „sobie dla niéj tyle mozołu zadają. Że, jeżeli „jéj przeznaczono umrzéć, gotową jest iść pod „gilotynę." Tak w owych czasach smutnego obłąkania, szaleństw i zbrodni, cnotliwi mieli za szczęście i zasczyt wstępować na to rusztowanie śmierci, mając w twarzy pogodnéj, z jaką się na nie udawali, jedynego świadka prawości sumienia w obliczu Boga i ludzi.

Po słowach Bironowéj zadrżał lud obecny, przejęty zgrozą, a wiele głosów dało się słyszeć z oburzeniem. Prezes zgromadzenia uznał potrzebę odłożyć śledztwa, wyznaczył obrońcę i posłał ją do Kąsijerżeri (Conciergerie), między innych więźniów. Od tych osób, które tam niejako małe składały państwo, po części dobrze urządzone, była staruszka przyjęta, ze wszelką czcią należną jéj stanowi i latom. Dwaj najznakomitsi męczyzni, zaprowadzili ją do spól-

nego obiadu i przyrzekli jéj służyć, jako sąsiedzi. Z postawą piękną, spokojną, sobie tak właściwą, przyjęła tę grzeczność, jakoby jéj doznała na własnym zamku, i starała się ze swojéj strony prowadzić i ożywiać rozmowę. Miała się wreście za umierającą, jakkolwiek w nią wmawiano, że sobie z nią okrutnie postąpić niémogą, skoro niemiała jednego przeciw sobie świadka, jednéj pewnéj skargi. To zaś było jéj ostatniém przedsięwzięciem, aby przejście do innego świata z przytomnością umysłu i spokojną godnością połączyć, i z téj przyczyny wywiadywała się troskliwie i rozważnie o postępowanie zwyczajne względem ofiar śmierci. Z wielką radością, ale z większym jescze smutkiem znalazła pomiędzy towarzyszami niesczęścia w Pani Delazar (Delazare) ukochaną znajomą, z wieku młodości. Z tą się połączyła, a obie przyjaciółki bawiły się z sobą po kilka godzin, tak uprzejmie, tak mile, a nawet tak wesoło, jakby się przypadkiem spotkały w podróży. Ku wieczorowi, według zwyczaju, wszedł Dozorca więzienia z Deputowanym Trybunału rewolucyjnego pomiędzy więźniów, i czytał głośno tych imiona którzy następującego rana ścięci bydź mieli, imie Bironowéj nieznajdowało się na téj liście, ale imie Pani Delazar. Na kilka minut przemogła na Staruszce boleść, że w krótce rozłączo-

na będzie z przyjaciółką, i że znowu sama zostanie, lecz niezadługo dziękowała Bogu, że jéj na drodze śmierci użyczył sczęścia prawdziwéj przyjaźni, prosiła go o stałość, aby w ostatnich godzinach mogła bydź użyteczną przyjaciółce, która ją miała opuścić. Modlitwa jéj była wysłuchaną; pomimo strudzenia z odbytéj podróży i innych wysileń, została przy niéj przez noc całą, dodawała jéj męstwa, modliła się z nią razem, i usługiwała nieszczęśliwéj. Dopiéro ze dniem osłabła na siłach; powolna prośbom przyjaciółki, która ją chciała uwolnić od chwili bolesnego rozstania, udała się na spoczynek, i spała przez kilka godzin, w największéj spokojności.

Tymczasem już jedenaście ofiar, przeznaczonych na rano, zgromadziło się i wsiadło na wóz, który jescze nieodjéżdżał. Sierżant Żandarmów, mający mu towarzyszyć, spojrzał na swoję listę, kłócił się z Dozorcą więzienia, znowu w nię zaglądał, kłótnia coraz była żywszą, nareście musiano uderzyć w ten dzwon okropny, który wszystkich więźniów na podwórzu zgromadził. Przybyli ze drżeniem oprócz Bironowéj, bo wtenczas dopiéro ocknęła, a ten zwyczaj niebył jéj jescze wiadomy. Sierżant przeszedł przez rzędy więźniów; wtedy rzekł Dozorca więzienia „widzisz sam, że niemasz téj staruszki:" Czy się tu Bironowa znajduje? wołał głośno Sierżant.

Jeden głos dał się słyszeć, tak jest. Sierzant pobiegł do gmachów, znalazłszy nieszczęśliwą siedzącą na łóżku, z założonémi rękami, rozkazał jéj iść za sobą, lecz tego zrobić niémogła. Dwaj Żandarmowie porwali ją, i zanieśli na wóz.

Prosiła o miejsce blisko swojéj przyjaciółki, a gdy na to zezwolono, duch jéj ożył na nowo, i przybrał moc dawną. Mówiła o troskach i przykrościaeh życia, które opusczały, o pokoju grobu, i wesołéj wieczności.

Nawet zaciętych i rozpaczających przejęła ta moc tajemna prawdziwéj wielkości duszy, i poddania się Bogu: oniemiały wszystkie narzékania i skargi. Za przybyciem na miejsce śmierci dozwoliła jéj gorliwość prześladowców tego sczęścia, że ją naprzód stracono, bo, żeby niebyła zapomnianą, umiesczono umyślnie jéj nazwisko piérwsze na spisie kata. Niémogła wejść na stopnie rusztowania, i kat musiał ją wesprzéć; potém jednak z taką postąpiła godnością, że nawet rozdziczałych krwiożerców do szanowania siebie zmusiła. Gdy się ani ona, ani żaden niespodziéwał tak nagłego jéj stracenia, przeto niebyła, jak inni, przygotowaną do takiéj śmierci. Związano jéj ręce, obcięto srebrnobiałe włosy. Prosty Żołniérż prosił kata o część jaką tych włosów, jako o świętość, i w milczeniu znosił obelgi swoich towarzyszów broni. — Bez żadnego ję-

ku ślachetna Staruszka poddała głowę swoję pod żelazo, a w kilka dni później, tego samego losu doznali w Arras wszyscy jéj służący, płci męzkiéj i żeńskiéj. Zamek Bironowéj zaraz po jéj śmiérci, według zwyczaju owego czasu, zrabowano, a jéj majętność na rzecz Narodu miała bydź sprzedana. Ale żaden z tych łakowych spekulantów, którzy się wtedy podobném kupnem zajmowali, nieśmiał się posunąć do miejsc, poświęconych przez ślachetną duszę, nawet za cenę pogardliwą, za którą chciano je sprzedać. Przez piętnaście miesięcy żaden się kupiec niezgłosił. Nakoniec przybyli z dalekich okolic, lecz dowiedziawszy się o wszystkiém, odstąpili natychmiast.

DUMKA,

GOŁĄB.

Wśród dzikiej puszczy, dalekiej od ludzi,
Gdzie zwolna szumią gałęziste gaje,
Gdzie wszystko wemnie lubą tęskność budzi,
Nigdy samotny błądzić nieprzestaję.

Tam wszystko lubość napawa tajemna,
Wszystko Niebieską słodyczą oddycha,

Tam już pochyło stoi wierzba ciemna,
Gdzie niegdyś miłość przebywała cicha.

Gdy Niebo szatę przywdziało pogodną,
Chodziłem zawsze siedzieć przy tym dębie,
Gdzie o méj Kasi mając myśl swobodną,
Na dwa niewinne patrzyłem Gołębie.

Jch rozkosz, smutne budziła wspomnienia;
Jch miłość, mojéj stała się obrazem;
Tam więc, dla ulgi swojego ciérpienia,
Chodziłem co dzień wzdychać z niémi razem.

Lecz wkrótce smutna nastąpiła zmiana,
Padł na nich Jastrząb, jak piorun z obłoku;
Krwią lubéj była jego pierś oblana,
A straszna wściekłość jaśniała mu w oku.

Widząc kochankę w szponach przeciwnika,
Niesczęsny Gołąb już żalem niewłada,
Zrywa się, srogość ogarnia go dzika.
Uderza; walczy, ... iraniony spada.

Śpieszę na pomoc niesczęsnéj ptaszynie,
Jescze oddycha, tuli się do łona;
Wracam mu życie, w téj saméj godzinie,
Gdy luba jego w srogich mękach kona.

Odtąd samotni pędzimy tu życie,
On moje troski i smutek podziela,
On nad mym losem ubolewa skrycie,
Tak w nim znalazłem wierność przjaciela.

Miły gołąbku! ty płaczesz stroskany,
Tę tracąc, co cię kochała tak sczérze;
A ja, niewiedząc czy jestem kochany,
Jleż od ciebie nędzniejszym w téj mierze.

O luba Kasiu, jedno twe spojrzenie,
Jeden twój uśmiéch, jedno ust twych słowo,
Mogłoby zmniejszyć méj duszy ciérpienie,
I zgasłą rozkosz obudzić na nowo.

DO PRZYJACIELA.

O ty, którego tak kocham, jak siebie,
Coś w troskach ulgi szukał na mém łonie;
Ah! czemuż muszę sam płakać bez ciebie,
By mi łez twoje nieotarły dłonie!

Nigdy téj nocy niezapomnę smutnéj,
Kiedy niesczęsną miłością zachwiany,
Płacząc nad zgonem kochanki okrutnéj
Serca mi swego otworzyłeś rany.

Niémogłem wtenczas łez wyléwać z tobą,
Bo jescze wolny z miłości się śmiałem;
Teraz dopiéro płaczę sam nad sobą,
Gdy razem z Kasią i miłość poznałem.

Przebacz, jeżeli nieznając twéj męki,
Łez rzewnych w tobie uczcić nieumiałem,
I niepodałem przychylnéj ci ręki,
Przebacz mi, jescze wtedy niekochałem.

Byłem, jak motyl, płochy i niestały,
Co buja wolno po smugach kwiecistych,
Miłość i rozkosz snem mi się zdawały,
Bom nieznał jescze takich uczuć czystych.

Dziś, o jak smutne dla serca wspomnienie,
W dzień mnie spokojność, sen odbiega w nocy,
Wszystko to Kasi z rządziło spojrzenie,
I teraz twojéj trzeba mi pomocy.

Tyś płakał, sczęścia pozbawion na zawsze,
Kiedyś kochankę stracił i nadzieję,
Mnie choć wspiérają wyroki łaskawsze,
Choć mam obiedwie, a przecie łzy leję.

Czy Niebo, swoje zasępiwszy czoło,
Zapala gromy i chmurami miota,
Czy się na ziemię ogląda wesoło,
W mém sercu wieczna panuje tęsknota.

Choć mnie los srogi prześladować będzie,
Ciężką zadając méj miłości ranę,
Jéj obraz w smutném sercu nosząc wszędzie,
Nigdy jéj, nigdy kochać nieprzestanę.

Z FLORYJANA BAJ: 5. KSIĘ: V.
OSIEŁ i FLET.

Głupców są liczne na ziemi roje,
Wszystko jest dla nich łatwém, nic ich niezadziwi,
Lecz trzeba im darować, są nieraz sczęśliwi,
Stąd niejeden pod Niebo wznosi biegłość swoję.

Osieł, nad oset schylony,
Ujrzał pastérza, który w cieniu drzewa,
Z fletu dobywał mile głos piesczony:
Nim innych wabi, zachwyca, zdumiewa.
Rozgniéwany więc rzecze: Niejestże świat głupi!
Ileż się dudków w to miejsce kupi,
Przed jednego oszusta;
Széroko otwarli usta.
Każdy go z podziwem słucha,
On się kłopoci,
Męczy i poci,
I w otworek mały dmucha.
Otóż tak można wsławić się przed światem!
Gdy ja przeciwnie......lecz dosyć na tém.
Opuśćmy to ostrowie,
Gniéw mną miota gwałtowny.
To kiedy powié,
Nasz osiołek wymowny,
I kilka kroków daléj poskoczy,
Z wielkiém swojém zadziwieniem,
Pod bliskim kamieniem,
Flet jakiś zoczy,
Który zapewne pastérz zgubił zakochany.
Przygląda mu się chciwie,
Zewsząd go bada,
I nos do niego przykłada.
O niesłychany dziwie!
To narzędzie głos wydaje,
A osieł biegłość sobie przyznaje;
Uniesion skacze do koła,
I témi słowy zawoła:
„Co tu za sztuka!
„Co za nauka!

„ Chociażem osieł a przecie,
„ Potrafię zagrać na flecie.

ŻYCIE UCZONE SŁAWNEGO DZIECKA
Frańciszka Boszato (Beauchateau). (a)

Nic niejest rzadszém i więcéj szacownêm, jak dobre wychowanie dzieci. Sposób prowadzenia w pierwszéj młodości, tak uderzającą różnicę stanowi w towarzystwie ludzkiém, iż bez zastanowienia się, na pierwszy rzut oka, po jednym wyrazie, z postawy saméj, odkrywamy edukacyją, lub jéj brak w człowieku. O jak sczęśliwi Rodzice, jeżeli umieją cenić wartość podobnego skarbu! jeżeli wszelkiémi sposobami starają się udzielić go dzieciom. Stokroć jescze sczęśliwsza młodzież, która z największą pilnością usiłuje go nabyć. Można utracić majątek, postradać pomoc i dawców dni swoich, ale moralne wychowanie i umiejętności podadzą nowe źródła wsparcia w niesczęściu.

Frańciszek Boszato urodzony w Paryżu

(a) *Życie Boszato jest wyjętem z dzieła* Vie des Enfans célèbres, *którego całkowity przekład na język ojczysty, stałby się wielce użytecznym. Jakoż miesząc w sobie najpiękniejsze i liczne przykłady bogobojności, zamiłowania cnoty i nauk, byłby dla poczynających dzieci najsilniejszą pobudką do naśladowania.*

roku 1645. którego życie może bydź wzorem doskonałości ukształconego serca i rozumu; niémiał potrzeby opłakiwać zawcześnie zgonu Rodziców, ci owszem niedługo się cieszyli najsłodszą serca nadzieją. — Ojciec Boszato, Aktor sławny mając tylko jednego syna, na którego dobrém wychowaniu całe sczęście pokładał; nic niesczędził, aby go ukształcić i oświécić. Większą część przeto swoich dochodów, przeznaczył na opłacenie do wszystkich nauk najlepszych Nauczycieli. Jego małżonka także Aktorka komiczna, z swéj strony podobne czyniła poświęcenie. Nieraz z tego powodu przedawała klejnoty, ograniczała się na mniéj kosztownych ubiorach, aby się podobać mężowi, którego bardzo kochała. Młody uczeń umiał korzystać z tak wielkich nakładów, i stawał się coraz większą pociechą Rodziców, przez znaczny postępek w naukach i przymioty serca. To zaś jest godną podziwienia rzeczą, iż niémając z przyrodzenia zdolności, przez nadzwyczajną chęć tylko, i wytrwałość w pracy, stał się uczonym.

Nic podobnie nierozprzestrzenia dowcipu, jak zbogacanie pamięci najlepszémi wyimkami prozy lub poezyi. — Boszato w piątym roku zaledwie czytać się uczyć rozpoczął, już umiał na pamięć bajki najpiękniejsze Lafontena, a co większa myśli w nich zawarte pojmował. Lubo

zaś trzy godziny tylko miéwał lekcyj dziennie, jednakowoż w siédmiu skończonych latach, już rozumiał każdego Autora Łacińskiego, lub Greckiego, i na żądanie, gdziekolwiek mu otworzono książkę, tłumaczył. Nabył jezyki tak trudne łatwym sposobem, to jest po prostu, przez ciągłe w obcowaniu ich używanie. Tą drogą postępując, nieczuł niesmaku jak inne dzieci, w uczeniu się suchych prawideł, i mordujących pamięć wyjątków.

Powszechnie za zjawiska poczytujemy te dowcipy przedwczesne, które jescze na pasku wodzone, okazują wiele zdolności. Lecz przestańmy się im dziwić, staranne i dobre prowadzenie, ciérpliwość, dopomagają silnie naturze. Wszyscy więc możemy się szybko udoskonalić, ale potrzeba dobréj metody w tłumaczeniu się Nauczycieli.

Języki są kluczem umiejętności, kto ich znaczną liczbę i gruntowniéj posiada, ten ma oświecania się większą sposobność. Oprócz Łaciny i Greczyzny tych głównych podstaw Literatury, młody Boszato uczył się po Hiszpańsku i Włosku, których języków osoby dobrze wychowane podówczas używały; w ósmym roku życia tak był w nich biegłym, iż niepotrzebowałby tłumacza we Florencyi lub Madrycie.

Do nabycia zupełnéj oświaty niedosyć jest czytać najlepszych Autorów; ale jescze trzeba własnych sił doświadczać, i naśladować wzory czytane.

Nauczyciele młodego Boszato starali się usilnie, aby jak najwięcéj w różnych, osnowach tłumaczył, lub oryginalnie pisał prozą, a częstokroć wierszem. Niewiadomo dla czego podówczas w edukacyi publicznéj zaniedbaną była poezyja, która jest lubém i korzystnem zatrudnieniem młodzieży: w czasie, gdy jest u sposobioną do pisania wierszy; i gdy pracując nad wszystkiemi naukami, chwile jéj tylko wolne poświęci. — W takim razie poezyja przyczyni się do ukształcenia stylu, zaostrzy dowcip, udzieli mocy, delikatności i wdzięku myślom. Mały Boszato był sczęśliwym w układaniu wierszy, pisał bardzo piękne, i z tego względu nabył wkrótce znakomitą sławę w Paryżu. —

Liczne pisma tego Poety nieodkrywały jego młodości. Pełne myśli, jędrności i imaginacyi, z Paryża przeszły w różne okolice Francyi, a wszędzie niewierzono, aby dziecka były płodem. Najświatlejsze osoby chciały poznać Boszato, aby z rozmowy mianéj przekonać się o prawdzie, jaką o nim wszędzie głoszono. Anna Austryjaczka, Matka Ludwika czternastego, bardzo pragnęła zobaczyć to sławne dziécię. Przywoławszy je, zadawała mu różne pytania, na któ-

re odpowiadał z łatwością i gruntownie. Gdy zaś mówiła Królowa, jak może posiadać w dziecinnym wieku tyle dowcipu i rozsądku?, szybko wyrzekł następujące wyrazy: Kiedy mi wolno rozmawiać z bóstwem ziemskiém, trudno ich nieposiadać." Chwile wolne najprzyjemniéj Królowa spędziwszy z dzieckiem, uściskała je i odsyłając obdarzyła kosztownémi darami.

Żył wtedy właśnie Kardynał Mazaryni. Sława młodego Autora zwróciła jego ciekawość. Słyszał Królową, mówjącą o nim z uniesieniem; kazał przywieść w własnym pojeździe Boszato, i czas dosyć długi poświęcił rozmowie. — Tą razą młody Poeta w początku nieutwierdził korzystnéj opinii, jaką o nim miano. Wspaniała postać Ministra, długa suknia purpurowa, poważna surowość wejrzenia, dzwięk głosu grubego i donośnego, okazałość dworzan, świetność zaprzęgów, zatrwożyły Boszato, był pomiészanym, zaledwie mógł się zdobyć na kilka nic nieznaczących wyrazów. — Kardynał starał się przywrócić spokojność dziecku... Właśnie była godzina obiadowa... Prosił go z uprzejmością do stołu... Przeznaczył miejsce pomiędzy sobą i jedną z siosrzenic, piękną Hortensyją de Manczini. — Rozmawiał z nim ciągle po Łacinie, Włosku, i Hiszpańsku; Boszato, przy długiém zastanowieniu odpowiadał krótko; lękał się bo-

wiem, aby niepopełnił błędu, w przytomności tak dostojnéj i światłéj osoby. Ostróżny i rozsądny, coraz lepsze czynił wyobrażenie o swoich talentach, chwila zaś jescze czasu, aby nastąpił tryjumf zdolności jego. Jakoż po skończonym obiedzie, Kardynał zaprosił młodziana do oddzielnego pokoju, i dał przedmiot do wypracowania wierszem. Naówczas Poeta odzyskał zwyczajną wesołość, i uczuł w sobie odradzający się dowcip W pozwolonym czasie, prócz przeznaczonej osnowy, napisał jescze wyborny wiersz, opiewający świetne czyny Ministra. — Pochwała szczególniéj zachwyciła Mazaryniego, gdyż był z natury nienasyconym w odbieraniu pochwał, i dla tego najlepsze powziął mniemanie o młodym Autorze, któremu natychmiast preznaczył stósowną pensyją, ofiarował zegarek, na którym były wyrobione Muzy i Apollo, wieńczący własne popiersie: nadto przydał w darze zbiór rzadki Poetów obcych i narodowych. Poczém sam odprowadził sławne dziécię w dom Ojca, które żegnając, oblał łzami radości. —

Do największych talentów Boszato łączył skromność rzadką. — W towarzystwie złożonem z osób rozmaitego wieku, jeżeli się znajdował, wolał raczéj chwile pędzić z rówiennikami, niż starszych utrudzać przez nudny popis i naukę. Zdarzyło się, iż wczasie pewnéj zabawy, dla uprzy-

jemnienia czasu, różne osoby grały na piano-forte; i przy miernych zdolnościach wesołej Publiczności odbierały oklaski. Młody Poeta, który razem do wysokiego stopnia posiadał muzykę, przez skromność niechciał, jak inni, narzucać się z pięknym talentem; a nawet pozbawiłby najmilszej przyjemności osoby przytomne, nieznające Wirtuoza Boszato; gdyby na sczęście Pazzaryni, sławny skrzypek, Toskańczyk, przybywszy w miejsce posiedzenia, nie skłonił do grania usilną prośbą przyjaciela młodego. Zdumiewające to dziecię, wykonało kilka sztuk trudniejszych po mistrzowsku, poczém aryjami z towarzystwem śpiewek dobranych Hiszpańskich, w zachwycenie słuchaczy wprawiło.

W trzynastym roku, Boszato poprawił prace własnéj imaginacyi, i ogłosił drukiem, z napisem *Muza małego Boszato.* — Ozdobił ją portretami wielkich ludzi, i dam znakomitych, których pochwały umieścił. Piérwsze wydanie było wielce pokupne, bo Rodzice mieli przyjemność nabywać dzieło Poety, dopiéro rosnącego, dla dzieci, aby ich zachęcić do zamiłowania Nauki i chwały. —

Z pism tego Autora, umiesczonych w trzeciém wydaniu znakomitsze są: Mucha i pająk, mysz szara, rondo do Matki, list do Ojca, gra w kręgle, latawiec, bańki mydlane, i t. p. — Wabią-

ca imaginacyja przewodniczy jego poezyi pełnéj żartu i wesołości. Młodéj osobie Julii Dezormo (Desormeaux) córce pewnego Cukiernika, mieszkającego w domu, w którym pobierał nauki, pannie najlepiéj prowadzonéj, i równie, jak młody Poeta sławnéj przez swoje talenta, ułożył wierszyk następujący:

Piękności! co zwyciężasz uroczém wejrzeniem,
Co zachwycasz Rozumem, Nauką i Śpiéwem!
Gdy wzruszyć serce Twoje jest mojém życzeniem,
Ach! cyliż tylu wdzięków nieokryję gniéwem.

Dla Henryjetty de Windsor, kochanki Milorda (Chestbry) Chestbury, domagającéj się o wiérsz, na prędce, Boszato natychmiast taki napisał:

Bóstwa czuję natchnienie, siedząc obok Ciebie,
Złożyłbym tysiąc wiérszy dla Twych wdzięków chwały;
Lecz, gdyś się wesprzéć spóźnił słabą lutnią Febie;
Kupida w serce moje ugodziły strzały.

Wszystko zależy od piérwszego kierunku, nadanego w młodości rozumowi ludzkiemu.... Nauki zamieniły się w potrzebę dla dziecka, którego sławne życie tak godnem jest opisu. Chociaż język Angielski niebył naówczas modnym, mimo tego jednak tak usilnie przyłożył się do niego, że wkrótce rozumiał i mówił po Angielsku: dla wydoskonalenia się zaś prosił Ojca, i otrzymał pozwolenie przepędzenia kilku miesięcy w Anglii; gdzie w krótce wyjechał z Konsulem

Fran-

Francuzkim, któremu był polécónym. — Przybywszy do Londynu był przyjmowanym najlepiéj od najznakomitszych Panów. — Mając dobrą tuszę, postać piękną, lecz wzrost bardzo mały; w trzynastym roku nieokazywał więcéj nad dziewiąty, co jescze przydawało blasku i chwały jego talentom. Najgodniejsze damy, najpiękniejsze damy, najpiękniejsze Ledy, wiodły spór, ubiegając się w zapraszaniu kochanego i szacownego Boszato, którym naprędce układał wiérsze pełne rozsądku i wesołości.

Boszato niémiał skończonych lat czternastu, kiedy już posiadał największą sławę. A pożérany ciągle żądzą nabywania oświaty, wsiadł na okręt w porcie Plimut, z dwoma uczonymi Jeometrami Oksfordzkimi, w zamiarze udania się do Persyi: gdzie pragnął poznać języki wschodnie. Wypłynęli z portu; lecz dwunastego dnia po odbiciu, w czasie okropnéj burzy, okręt niezmiernie został uszkodzonym. — Osoby w nim znajdujące się szukały wszelkich sposobów ratunku, a w znacznéj bardzo liczbie przechodząc na czółna, własnym ciężarem niektóre pogrążywszy, zatopiły. Niescześliwy Boszato także naówczas zapewne utracił życie, bo następnie żadnéj już o nim wiadomości powziąć niémożna było.

Wielki ten Jenijusz, njapiękniejsza nadzijea i

Rodziców i Literatury, gasnąc w jutrzence życia, uległ przeznaczeniu: lecz przetrwa wieki sława, któréj mu nie jeden starzec pozazdrości.

POCIESZENIA.

NAPISANE PRZEZ C. A. DEMOUSTIER,

AUTORA LISTÓW O MITOLOGII.

WSTĘP AUTORA.

Nieprzedsięwziąłem rozprawę, lecz obraz pocieszenia napisać. Uczucie powinno być malowaném, a nieroztrząsaném. Serce nieroztrząsa, i gdy je zmuszają do tego, rozum je wyręcza, a uczucie znika.

Pocieszenia we wszystkich niescześciach życia mają miejsce; lecz niémasz boleśniejszych strat, nad te, które serce ponosi; do tych to ograniczyłem i moje.

Wybrałem Przyjaciela, kochanka młodego i czułego. Wziąłem go w moje obięcia, w okropnéj chwili, w któréj utracił w jednym przedmiocie wszystko, co go do życia przywięzywa-

ło; przedsięwziąłem przeprowadzić go ze stanu otrętwienia do rozpaczy, z rozpaczy do rozczulenia, z rozczulenia do łez, z łez do smutku. W tenczas z wolna odrodziłem uśmiéch na jego ustach, otworzyłem stopniami serce jego czułości, a z niesczęścia zostawiłem mu tylko wspomnienie słodkie i czułe, pomiészane z goryczą i rozkoszą (*).

W MIESIĄC PÓŹNIEJ.

Nie w mieście można znaleść prawdziwą pociechę. Człowiek głęboko zasmucony w przyrodzeniu znajduie ulgę. Przyrodzenie jest żywiołem serca. Jeżeli pomyślność oddala nas niekiedy od niego; przeciwność zawsze zwraca ku niemu.

W piérwszych chwilach rozpaczy wszystkie miejsca w prawdzie są obojętnémi dla nas; mało nas obchodzi, gdzie jesteśmy, gdyż wszędzie jest boleść. Lecz gdy po czasie nastają dni pocieszenia, najprzyjemniéj jest na wsi ich używać. Tam to oddychając świéżością lasów, wonią łąk i kwiatów, niesczęśliwy zapomina swych trosków.

(*) Opusczono Pocieszenia pod tytułami: *Piérwszy dzień. Nazajurtz. Tydzień późniéj. Piętnaście dni późniéj*, z powodu, że są mniéj ważne, a zajęłyby wiele miejsca, w którém dla urozmaicenia tego Pisma inne rzeczy umiesczone być muszą.

Jedziemy. W miarę oddalenia się od miasta, powietrze i światło jest czystsze; zbaczamy z drogi zwyczajnéj, i błąkamy się do woli po krętych dróżkach po lesie. Sprzeczność téj cichéj spokojności z łoskotem, z któregośmy się wydobyli, wprowadza nas w słodkie marzenia, i zwolna uwagę naszę zajmuje.

Obrazy, które nam przyrodzenie przedstawia, wznoszą nas do ich Stwórcy; nasza dusza zdaje się krążyć nad tą obszerną przestrzenią kwiatów, owoców i zieloności, lecz zbyt słaba do utrzymania tego wzniosłego lotu, z zachwycenia przechodzi stopniami do zamyślenia. Powiew zefiru, który pieści listki, szelest wody płynącéj i spadaiącéj, czułe i żałosne pienia ptaszków, wszystko przyjemne robi wrażenie. Kwiaty szczególnie ściągają nasze spojrzenia. Jeżeli dla duszy czułéj jest jaki przedmiot zajmujący jéj uwagę, to zapewne kwiatek rozwijający się, jego świeżość, farba, słaby i nietrwały byt, wszystko nam przepowiada, lub przypomina los przedmiotów, które cenimy. Woda tego strumyka, która odwilża ten kwiatek, była żywiołem jego młodości, utrzyma przez niejaki czas jego świeżość, nakoniec poniesie rozproszone jego listki do oceanu. Inne wody popłyną na miejscu tych wód, i odwilżać będą inne kwiatki, których listki znowu poniosą.

Tak w biegu czasu rodzi się, kwitnie i ginie piękność, jéj dni szybko mijają, z niémi i ona mija. Inne dnie następują dla innych piękności, które błyszczą i giną razem. Gdzież są kwiaty, wody, dni piękne i piękności, które przechodziły nad tym brzegiem? Pytamy się dziś o nie, jutro nasze wnuki nas o nie będą się pytać. Ta uwaga, choć smutna, ma jakiś wdzięk pocieszający; powszechne nieszczęście dodaje nam odwagi do znoszenia własnego.

Oddani tym myślom, postępujemy ścieszką, którą przypadkiem natrafiliśmy. Tym czasem dzień się schyla; powietrze jest czyste, Niebo pogodne i spokojne, słońce niknie, pienia ptaszków ustają w miarę powiększaącjcych się ciemności, i całe przyrodzenie zabiéra się do spoczynku. Cichość jest przerwaną przez odgłos kilku fletów we wsi, do któréj na noc zmierzamy. Jest oną położoną na schyłku pagórka, a jéj chałupki zdają się być pozłocone przez ostatnie promienie słońca. Przybliżając się spostrzegamy tańce, i słyszymy śpiéwy radosne.

Na ten widok, spogląda na mnie, wzdycha i odwraca się. Pojmuję, co go odstręcza, tam tańcują, kochają jescze. Już jéj niémasz, Przyjacielu, rzecze-mi, idźmy w inną stronę. Podaję mu rękę, i oddalam się ode wsi, lecz wrócimy się do niej.

Zwolna jednostajny odgłos oddalonych fletów pogrąża go w głębokie zamyślenie. Postępuje z zwieszoną głową, jego spusczone oczy są łzami zalane, zapomina, gdzie jest, zapomina o sobie. Sczęśliwe zapomnienie, strzegę się pilnie przerwać je, lecz zwracam go nieznacznie do piérwszéj ścieszki. Prędzéj postępuje, w miarę większego natłoku myśli, i niewychodzi z swego zamyślenia, aż gdy już jest w pośród uroczystości wiejskiéj. Widok ten, daleki od oburzenia go, wstrzymuje łzy jego. Radość powiérzchowna i wrzaskliwa miast, jest nieznośną boleści; lecz radość niewinna i wosołość prawdziwa, wciskają się w duszę niesczęśliwego, który się im przypatruje.

Uroczystość odprawia się przed chatą, któréj wchód ocieniony jest wiązami i topolami: pod ich rozłożystémi gałęziami siedzi niewiasta, trzymając dziécię u piersi. Miłość macierzyńska maluje się w jéj gasnących oczach, i ożywia bladość jéj twarzy. Znać, że wiele ciérpiała, lecz gdy spogląda na swoje dziécię; ślady boleści znikają, i jéj ciérpienia możnaby wziąć za ciérpienia miłości. Mąż jéj siedząc za nią, w swojém ją trzyma ręku, ona niekiedy opiéra głowę o piersi jego, bądź dla wygody, bądź odebrania pocałowania, które ją czeka.

Blisko niéj widać parę, nowo dobraną, uwień-

czoną kwiatami, wskazują sobie dziécię, ściskające łono swéj Matki. Młoda mężatka rumieni się, i całuje to dziécię, młody mąż ściska i całuje to samo dziécię, jakby dla odebrania mu pocałowania żony swojéj.

W pośród tego zajmującego obrazu wznosi się poważna głowa pastérza, ubielona siwizną. Jego czoło wesołe, spojrzenie spokojne, usta uśmiéchające się wpajają zaufanie i przyjaźń. Zdaje się, gdy go tylko postrzeżemy, iż mu mamy coś powiedziéć; i już, niespostrzegłszy się, jesteśmy przy nim.

Spojrzał na mnie, wpatruje się w Karola, (*) pogląda się bowiem na spokojnego, wpatruje w niesczęśliwego. Przybliżam się do niego, i pytam o przyczynę uroczystości. „Widzisz, „rzecze mi, sczęście i rozkosz, gdzie przed kilką „dniami byłbyś spostrzegł tylko boleść i rozpacz; „taka jest koléj losów ludzkich. Ten, który „istotnie niedoznał radości lub smutku, umiéra „nieżywszy." Daléj, poglądając na Karola, dodaje: „Ta ustawiczna przemiana sczęścia i niedoli, człowieka sczęśliwego unižać powinna dumę, i dodawać męstwa ciérpiącemu."

(*) Szanowny Tłumacz daruje, że zmieniono imie Oryginału z Panfila, który tu jest przedmiotem pocieszenia na Karola. Tamto bowiem dla Polaka zniszczyłoby w tem miejscu wrażenie pisma.

Nalegam wtedy o wytłumaczenie nam zajmującego obrazu, na który patrzymy: „Te szczegóły, rzecze mi, byłyby za długie, kończący się „dzień przymusza mnie oddalić się, lecz jeżeli jeszcze „niezrobiliście któremu z przyjaciół pewności tego „szczęścia, że was u siebie mieć będzie, ofiaruję „wam wieczerzę, i nim ją moja siostrzenica „przyrządzi, opowiem to, co chcecie wiedzieć.

Przyjmujemy wezwanie. Żegna się z szczęśliwą rodziną, prowadzi nas do siebie, okna mieszkania umajone są winnémi latoroślami, które pną się po murze. Gałęzisty jawór ocienia i dom i podwórze; możnaby powiedzieć, że pokój mieszka w jego cieniu, że tego schronienia strzeże niewinność; zdaje nam się widzieć ją samą na schodach do przedsienia, z oczyma spuszczonémi przyjmuie nas; jest to Emira siostrzenica Pastérza; lekki uśmiéch ożywia koralowe usta, lecz jak tylko jéj oczy spotkały się ze spojrzeniem Karola, uśmiéch znika. Jéj twarz zasmuca się stopniami. Karol wzrusza się jéj smutkiem i wzdycha. Emira to uważa, i wzdycha także. Serca czułe domyślają się nieszczęśliwych.

Posiłek jest skromny, lecz go ofiaruje przyjaźń. Otwartość od piérwszéj chwili połączyła biesiadujących. Pastérz wywiaduje się o przyczynę naszéj podróży; w krótkości odpowiadam mu; lecz zaledwiem wspomniał o nieszczęściu

Karola; Emira wykrzyknęła: „wiedziałam!..... Wiedziałaś, rzecze poważny Pastérz, a to jakim sposobem?— Kochany Stryju, domyślam się.”— To mówiąc odwraca piękne oblicze; zgadujemy, że się rumieniła.

Nasz gospodarz, obracając mowę do Karola, rze„cze: Cierpisz, widzę to: lecz boleść się zmniéjsza, „gdy jest podzielona; masz Przjyaciela jednego, „od ciebie zależy, abym ja tę liczbę powiększył, „a łzy ociérane przez takie osoby, mniéj gorz„kiémi będą. Oprócz tego czas wysuszy z wol„na ich zródło, a gdy rozważysz, że wszyscy „ludzie podlegają dolegliwém zdarzeniom, któ„rych dzisiaj doznajesz, roztropność zasłoni cię „od pocisków przeciwnego losu. Poznasz, że „życie najszczęśliwsze jest przemianą rozkoszy „i trosków; że człowiek ciérpiący ma przed „sobą nadzieję, człowiek będący w szczęściu, „obawę utracenia jego.

„Lecz w chwili niniejszéj ciérpisz, a boleść „nieprzypuscza rozumowania. Zachowuję go „na czas spokojniejszy. Zamiast więc dowo„dzenia, że powinieneś mieć nadzieję, chcę ci „wystawić przykład rodziny, któréj widziałeś „szczęście i radość. Dowodzenie przekonywa ro„zum, przykłady trafiają do serca.

KONSTANCYJA i WALMONT.

Konstancyja i Walmont, kochający się od najczulszéj młodości, pobrani blisko od roku, używali tego sczęścia spokojnego i czystego, które miłość cnocie zachowuje. Zamiészkali tę przyjemną chatkę, przed którą widzieliście ich połączonych. O trzy mile od nich mieszkała Matka Konstancyi. Ojciec Walmonta w podobnéj odległości miészkał. We wszystkie dni świąteczne zgromadzano się albo u Ojca Walmonta albo u Matki Konstancyi, lecz najczęściéj u młodego małżeństwa.

Ponieważ Ojciec Walmonta był wdowcem, przeto Walmont wziął do siebie młodą swą siostrę Agatę, któréj edukacyją Konstancyja ukończała. Agata miała lat piętnaście. Do czternastego roku lubiła kwiatki i ptaszki, lecz od roku, Wojciech brat Konstancyi, stał się przyczyną, iż o nich zapomniała.

Młody Wojciech opuścił swoję Matkę, aby przy Walmoncie uczył się gospodarstwa. W dziewiętnastym roku żyć przy Agacie, natchnąć ją miłością, i niekochać, było rzeczą niepodobną. Prócz tego Agata i Wojciech mieli ciągle przed oczyma sczęście Konstancyi i Walmonta, a sczę-

ście drugich pobudza nas do myślenia o własném; często te słodkie uwagi zajmowały naszych młodych przyjaciół. Świadkowie piesczot małżonków, myślą stawili się w ich miejscu, i gdy się ich spojrzenia spotkały, zdawały sobie mówić: a my kiedyż będziemy tak sczęśliwymi?

Niebo, co dobre powodzenie cnocie zachowuje, spełniło chęci Konstancyi i Walmonta. Konstancyja poznała, iż miała zostać Matką, a serce jéj nowém uczuciom otworzyło się. Małżonka, Matka, jakąż niejest istotą dla swego męża!— Agata spostrzegła w rysach Wojciecha uczucia dobrego Ojca. Wojciech widział w oczach Agaty coś macierzyńskiego.

Tak żyły te dwie pary sczęśliwe, jedna ciesząc się sczęściem, że będzie Rodzicami; druga obiecując sobie podobne rozkosze.

Już Konstancyja zbliżała się do upragnionéj epoki, kiedy Walmont dowiaduje się, że Ojciec jego jest niebespiecznie chory.— Przybiega do niego, zastaje go umiérającego, a bliska nadzieja, że zostanie Ojcem, ustępuje bojaźni utracenia własnego.

Tym czasem Konstancyja uczuła piérwsze boleści rodzenia; w tych przykrych chwilach, gdzie ciérpienie potrzebuje przyjaźni, wzywała nieustannie kochanego Walmonta. „Przyjacielu wo-„łała, czemuż niejesteś tutaj! zapomniałabym,

„że cierpię." Nakoniec po bolesnéj nocy, dziecię jéj ujrzało dzień. Okiem mglejącém z boleści spogląda na nie; jest to Syn! już ręce macierzyńskie drżąc piastują go. Ciekawém spojrzeniem przypatruje się mu. „To Walmont, oto „jest, to jego całuję, drogi małżonku, niewie„działam, żeby był jescze nowy sposób kocha„nia ciebie."

Niebędę mówił, iż Konstancyja sama karmiła swe dziecię; zanadto czuła obowiązki i rozkosze Matki, żeby nią miała być tylko przez połowę. W pośród jéj czułych starań, wierna Alix oddaje jéj list od męża. Pieczątka uprzedza ją o smutnéj wiadomości, którą ma wyczytać; już niéma Ojca Walmonta, który oddając się boleści, zapominając, że sam został Ojcem, chce wstąpić za swoim do grobu.— To straszne postanowienie, które za każdym wiérszem w liście wyczytuje, wyciska Konstancyi łzy gorzkie: „Niewdzięczny, rzekła głosem prze„rywanym łkaniami, zapomina o mnie, i o to„bie kochane dziecię, i o tobie zapomina. Co chwila odczytywała ten list, i płakała, całując swe-go syna:

Alix donosiła jéj codziennie o Walmoncie, który zwolna zwyciężając swą boleść, czuł się coraz silniejszym.

Pewnego poranku przybywa wcześniéj, niż zwyczajnie, i mówi Konstancyi: „Kochana Pani, „wraca twój mąż, widziałam, jak raniuteńko wy„szedł piechotą, szłam za nim niejaki czas, i gdym „się przekonała, że tu idzie, udałam się boczną „drogą, by ciebie o tém uwiadomić. Ponieważ „idzie zwolna, a śpieszyłam się, jak mogłam, są„dzę, żem go z milę wyprzedziła."

Za tę nowinę Konstancyja całuje z uniesieniem Alix, bierze na ręce Syna, i choć słaba jeszcze, idzie ku małemu laskowi, położonemu przy drodze o ćwierć milki; tam przypiąwszy do piersi dziecięcia napis własnoręczny, kładzie je na murawie, w cieniu drzewa, którego gałęzie rozciągają się nad drogą, sama kryje się za bliskie drzewo, i spogląda to na Syna, to na drogę, którą ma przybyć małżonek.

Spostrzega go nakoniec, postępującego zwolna, z głową schyloną, z rozczochranémi włosami, i zdającego się być zatopionym w swojéj boleści. W miarę zbliżania, Konstancyja czuje mocniéj bijące swe serce. Już tylko o dwadzieścia kroków jest od niej, jego oczy wlepione w ziemię, spostrzegają dziécię, wyciągające ku niemu rączki. Zatrzymuje się nagle, przypatruje mu się z rozczuleniem, i wznosząc ręce ku Niebu: „Nie„szczęśliwe dziécię, zawoła, czyś także utraciło „Ojca?" To mówiąc biegnie ku niemu; lecz

schylając się, jakie zadziwienie! gdy okiem zmieszaném czyta te wyrazy kreślone ręku, któréj serce jego niémoże niepoznać: „Nie jesteś więcéj Synem, lecz jesteś Ojcem!" Drogie dziécię, rzecze, tyżbyś to było?..... Tak, Przyjacielu, zawoła jego Matka, tak, to twój Syn, to twoja Żona, i już jest w jego obięciach.

Po chwili milczenia, którego rozkosz Niebo pozwoliło czuć, ale nie wyrazić, Konstancyja podnosząc Syna i pokazując go mężowi: „Przyja„cielu, rzecze, oto ręce, które cię pieścić, i usta, które ci dawać Ojca będą imie, a którego ty już nikomu dać niémożesz. Kiedyś mnie opuścił, opłakiwałem ciebie, dziécię moie wróciło mi twój obraz; opłakujesz twego Ojca, oto jest twój Syn. Tak widzisz, że strapienia i pociechy życia rodzą się na przemian z łona miłości i przyjaźni.— „Sczęśliwą będzie twoja żona, „jeżeli rozkosze i troski, które może ci sprawić „tylko z tych dwóch uczuć będą się rodziły.

Po tych słowach, nowe piesczoty, nowe łzy wycisnęły, i rozlały w duszy Walmonta tę czystą radość, i tę spokojność rozczulającą, pierwsze znaki ozdrawiającego serca. Postępował zwolna, trzymając jedną ręką żonę, drugą piesząc Syna, i zatrzymując się za każdym krokiem, albo dla uściskania żony i dziecięcia, lub dla odebrania uściśnień.

Tym czasem Agata i Wojciech przysposabiali się do przyjęcia swego brata. „Przyjacielu, rze-„kła Agata, trzeba nam się połączyć dla pocie-„szenia go. Toż myślisz odpowiedział Woj-„ciech, iż niebędzie pocieszonym, nim nas oba-„czy? Alboż nieujrzy małżonki i syna? Ko-„chana Agato, gdy się posiada żonę taką, jak „Konstancyja, lub jak ty, możnaż dać się zwy-„ciężyć smutkom, prócz temu, któryby był po „jéj stracie? Czyliż mniemasz Wojciechu, że „przyjaźń niejest czasem dostateczną do pocie-„szenia nas, czy ja naprzykład niestraciłam „Ojca także? mój smutek niejestże ten sam, co „Walmonta, cóż więc mnie pociesza? Oto on, „oto Konstancyja, oto ty.— Jakież uczucie „przywięzuje mnie do Walmonta? przyjaźń: do „Konstancyi? przyjaźń.... do ciebie Wojciechu?.. „Co przyjaźń tylko? Ale, mój przyjacielu! cóż „na tém zależy, jak ciebie kocham, bylebym „tylko zawsze ciebie kochała.

Walmont przybywszy do siebie, odbiéra uściśnienia od Wojciecha i Agaty, która głosem przerywanym rzecze: „Niestety! bracie; mam „tylko ciebie! siostra powinna cię pocieszać, „lecz ona od ciebie tego wymaga. Droga sio-„stro, przyrzekam ci pocieszenia, które mogą „rodzić się z przywiązania braterskiego, lecz „jest inne uczucie, kóre jedynie może ci wy-

„ nagrodzić stratę Ojca." To mówiąc Walmont ściska swoję żonę i syna.— „ Niestety! rzekła „ wzdychając Agata, czyliżem równie, jak ty, nie- „ poniosła straty." Tu jéj spojrzenie zwróciło- się mimowolnie na Wojciecha.

Gdy Agata rumieni się ze wstydu, Wojciech z radości, Konstancyja i Walmont przez spojrzenia powierzają sobie myśli swoje; biorą dłonie kochanków, i łącząc je, przymuszają ich do przyrzeczenia sobie przyszłych związków, które odłożone do następnego roku, końcem, aby czas żałoby upłynął, i aby przez zachowanie świętych obowiązków synowskich, stać się godnym i szczęścia małżeństwa.

Od sześciu miesięcy kochankowie i małżonkowie używali tego miłego spoczynku, który zwolna oddala czarne zgryzoty, a których zabawy wrzaskliwe nigdy oddalić niémogą. Konstancyi zdawało się, że miała stać się Matką po drugi raz, i w krótce przekonaną o rzeczywistości została; a nadzieja szczęścia pomnożenia familii nowém dziecięciem, napełniała wszystkich radością.

Ach! któż niewidział kiedy, młodéj Matki pieszczącéj piérwszy owoc swojéj miłości, i czującéj, że wzrasta w niéj nowy zadatek miłości. Wszystkie uczucia szczęścia upajają jéj duszę. Czuła małżonka, kochanka wielbiona, szczęśliwa

Mat-

Matka, i w krótce raz jescze Matka, z rozkoszą rozpoczyna piérwsze swoje miłostki. W jéj łonie, na jéj łonie, wszystko dla niéj rozkoszą, a nadzieja szczęścia wzrasta przy istotném.

Lecz piękne dni naszego szczęścia są jak kwiatki; chwila, w któréj błyszczą, zapowiada, że już błysczéć niebędą.

Już zbliżał się pożądany czas, w którym himen miał połączyć tych młodych kochanków. Wojciech prosił Walmonta, aby dotrzymał obietnicy, a Agatka, spusczając oczy, udawała, jakby zapomniała o naznaczonym czasie, a to, aby Konstancyja o tém jéj przypomniała.

Konstańcyja i Walmont zanadto znali cenę szczęścia, żeby mieli odwłóczyć to, co przyrzekli, i ślub został oznaczony na początek przyszłego miesiąca.

Trzy dni przed pożądanym dniem, Konstancyja, chociaż kończyła ósmy miesiąc ciąży, udaje się po Matkę o trzy mile miészkającą. Lecz przybywszy, zastaje ją złożoną chorobą zaraźliwą, która panowała w tych okolicach. Była to mocna gorączka, niebezpieczna szczególniéj dzieciom i podeszłym, których słabe organy niémogły się oprzéć szkodliwości zarażonego i zepsutego powietrza, które trzy razy na dzień ponawiało swoje wysilenia. Jeżeli w tym przeciągu chory miał siłę oprzéć się, był zachowanym,

a drugi dzień słabości był pospolicie dniem ozdrowienia lub śmierci.

Matka Konstancyi, dzięki staraniom swéj córki, wytrwała, i nazajutrz już wolną była od niebezpieczeństwa, przyrzekła nawet być na weselu Wojciecha swego syna, i niechciała, aby obchód był odkładany: „Wiem rzekła ona, wiem „z doświadczenia, jak oczekiwanie wprawia „młodych kochanków w gorączkę. Niechcę, „aby moja droga Agata dostała téj, na którą cho„rowałam. Jutro wybiéram się w podróż, pojutrze stanę, a za trzy dni przyrzekam ci, naj„ukochańsza córko, że będę tańcowała." Konstancyja ze łzami opuscza Matkę, którą ucałowała; wraca, a całując z uniesieniem swoje dziecię, zaraża go zepsutém powietrzem, którém od dwóch dni oddycha. Gdy czyni przygotowania do obchodu weselnego, krąży gorączka w żyłach jéj Syna. Krzyk jego oznajmuje piérwsze boleści, bladością zatrważa Matkę. Wojciech biegnie natychmiast do miasta, i sprowadza Doktora, doświadczonego przez wiek i długą praktykę. Przybywa, przybliża się do kolébki dziecięcia, i uważa je pilnie. Matka, z oczyma wlepionémi w niego, spodziewa się, i drży na przemian, nieśmiejąc się go zapytać o to, czego się obawia dowiedzieć. Nakoniec po długiém milczeniu Doktor obraca się ku niéj. „Cóż więc, Pa-

„ nie Doktorze? Cóż, Pani? Na imie Boga, mów!
„ Obawiam się.... Rozumiem, oszczędz mi reszty.
„ Uspokój się. Obawiam się drugiego wysile-
„ nia, lecz jeżeli je dziécię przetrwa, ręczę za
„ jego zdrowie. Jak to prędko nastąpi, Panie
„ Doktorze? Zdaje mi się, że się zbliża. Jak
„ długo trwać będzie? Może dwie godziny.—
„ Dwie godziny! Wielki Boże!..... a może za
„ godzinę.... Ach, Panie, miéj litość, nad biédną
„ Matką, zostań, nieopuszczaj mnie, uratuj dzié-
„ cię moje drogie, uratuj mnie. O gdybyś wie-
„ dział, ile jestem nieszczęśliwą! To ja, ja, Ma-
„ tka jego śmierć mu zadałam. Niebo zacho-
„ waj mnie od niesczęścia, żebym dziécię moje
„ przeżyła! Ach, Panie Walmoncie! Wojciechu,
„ Agato, Alix, przybywajcie, wyrwijcie je śmier-
„ ci!..... Patrzcie, zapalają się jego oczy! jak bo-
„ leśc maluje się we wszystkich jego rysach.—
„ Ratujcie je, ratujcie jego Matkę." To mówiąc, całuje kolana Doktora, i skrapia je łzami. Na próżno zaklinał ją, aby miała nadzieję, i aby pamiętała przynajmniéj na stan, w którym zostaje. „Zachowaj mi Syna, a będę zachowa-
„ ną. Niebezpieczeństwo niejest we mnie, tylko
„ w mojém dziécięciu. Ciérpię gorączkę jego,
„ i tylko z niém mogę być uzdrowioną."

Tym czasem wysilenie powiększa się; Doktor mimo wszystkich starań spostrzegał, że niebez-

pieczeństwo z każdą chwilą się wzmaga. Konstancyja uniesiona boleścią, bierze na ręce dziécię, przyciska je do łona, i zdaje się, że chciałaby wyssać gorączkę jego. Potém nagle kładzie je w kolébkę, nachylona, z nieporuszonym wzrokiem, z wyciągniętémi rękoma, w niepewności, pogląda już to na Syna, już to na Doktora, chcąc jego zdanie wybadać.

W téj chwili dziécię wydaje krzyk przeraźliwy, a jego Matka mniema, że słyszy głos śmierci. Gorączka pożérająca podwaja się. Najtroskliwsze starania przez miłość, gorliwość, i sztukę podawane niemogą zmniejszyć boleści dziécięcia. Nakoniec boléść po wywarciu swéj siły zmniejsza się, i ustępuje spoczynkowi, lecz ten spoczynek ma być wieczny. Doktor, który to spostrzega, daje znak Walmontowi, aby swą żonę wyprowadził. Oko Matki widzi wszystko. „Cóż znaczy ten znak, rzecze? Pani, odpowiada Doktor, widzisz, że twój Syn usypia, ten „sen jest ważnym, twój płacz, albo piesczoty „mogłyby go przerwać. Nie, nie, przysięgam! „Matka w podobnym razie więcéj obiecuje, niż „dotrzymać może; bezpieczniej jest oddalić się, „sam zostanę przy Synu twoim, i zawołam ciebie, kiedy czas nadejdzie. Co? ja mam się „oddalić? Trzeba tylko, aby się jedna osoba „została. Wyjdź, Pani, albo ja wyjdę..... Ach,

„ zostań! zostań, ja wyjdę..... lecz przynajmniéj „ jak długo spać może? Przewiduję, że sen bę„ dzie długi. I ja go mam niewidziéć przez ten „ cały czas? Pani zapomina swoich przyrze„ czeń. Jeżeli kochasz swoje dziécię, to wyjdź." Wtedy Walmont wziąwszy ją za rękę, prowadzi do innego pokoju.

Walmonta nieułudził pozorny sen dziécięcia. Jego serce rozkrwawiało się raną, którą odebrało. Jednakowoż udawał spokojność, a ten okrutny przymus powiększał jego boleść; najprzykrzéj bowiem jest człowiekowi nieszczęśliwemu pokrywać, że ma nadzieję, gdy w sercu rozpacz.

Konstancyja co chwila przykładała ucho do dziurki od zamku, oczekując przebudzenia się Syna.— Często jéj ręka mimowolnie brała za klamkę, lecz Walmont zatrzymując ją, mówił: „ Kochanko, co robisz? wiész rozkaz Doktora; „ wiész, że te drzwi otwierając się, skrzypią: „ czy chcesz dziécię obudzić?.. Ach! odpowią„ dała, tak długo już śpi! Zaledwie jest godzi„ na. Godzina? a noc się już zbliża. Bo dziś „ Niebo jest pochmurne; cierpliwości nieco, to „ ja, to twój mąż o to cię prosi."

Konstancyja niespokojna przebiegała cały dom; zatrzymywała kolejno Wojciecha, Agatę, Alix, i wszystkich służących, i pytała się głosem bo-

jaźliwym: „Czy już się obudził?" Każdy odwracając oczy odpowiadał: „nie jescze." Nie jescze! mówiła; wznosząc ręce ku Niebu, i powracała ku drzwiom od tego pokoju, gdzie jéj Syn spoczywał.

Już noc była późna. Konstancyja zostawiona sama na chwilę, patrzy szparą we drzwiach będącą, i niewidzi światła w pokoju swego Syna. Drescz ją przechodzi. Drżąc, otwiéra; głębokie milczenie panuje. Woła cichym głosem Doktora; żadnéj odpowiedzi. Przejęta nową obawą; zwolna zbliża się do łóżka dziécięcia, poznaje przez dotknięcie, że leży pod kołdrą, serce bije jéj z radości; lecz za dotknięciem się zlodowaciałéj rączki, zimny pot oblewa ją całą.— „Ach, niesczęśliwe moje dziécię!..." Na ten krzyk przybiegają.— Walmont chce ją wyprowadzić z pokoju, lecz ona, przycisnąwszy się mocno do ciała swego Syna: „Nie, zawoła, napróżno usiłujesz odłączyć mnie od niego." To mówiąc, całuje z uniesieniem zdrętwiałą twarz Syna.

Walmont niemogąc nic wymódz na żonie, przychodzi po mnie. Przybywam, i po godzinie proszenia ze łzami wymógłem, że spocznie cokolwiek. „Przystaję na to, rzekła, lecz z warunkiem, że w tém łóżku będę spała, i że ta „kolébka będzie przy mnie."

Musieliśmy zezwolić na jéj żądanie; noc była

przemianą burzliwą skarg, uniesień i łkania.— Szczęśliwa, kiedy mogła płakać, mówiła nam: „to jest tylko moją pociechą.” Nowe łzy płynące z jéj oczu, przynosiły spokojność na chwilę. Doktor korzystając z jednéj takiéj chwili, podał jéj napój, który ją w krótce w głębokim snie pogrążył. Wtedy wzięliśmy ciało dziécięcia, i przygotowaliśmy pogrzéb.

W ciągu tych smutnych przygotowań, od łez niémogłem się wstrzymać, widząc ten dom, wczoraj siedlisko szczęścia i nadziei; dziś rozpaczy i śmierci, i te drzwi uwieńczone girlandami weselnémi, pokryte żałobną zasłoną. W ciągu tych smutnych myśli, słaby promień nadziei, wzbudzał przeczucie powrotu szczęścia. Nieszczęście moich przyjaciół zdawało mi się być wielkiém, żeby długo trwać miało. Jużem powiedział: człowiek w szczęściu ma przed sobą obawę, nieszczęśliwy nadzieję. Pogrzéb właśnie się skończył, kiedy Konstancyja nad schyłkiem dnia przebudziła się nakoniec. Sen uspokoił gorączkę, a boleść, stawszy się czulszą, nowe łzy wyciskała. Doktor uznał, że nie jest niebezpiecznie chorą, i oczekiwał jéj ozdrowienia od łez, które widział płynące.

Byliśmy przy jéj łóżku, i z nią płakaliśmy. Agata wtedy weszła z Wojciechem, i widząc odsłonione firanki, przybliża się, a chcąc je wię-

cej odsłonić, wyciąga rękę. Lecz Konstancyja bierze ją z żywością za rękę, przyciąga ku sobie, i po długiém ściskaniu rzecze: „Kochana Aga-
„to! kochana przyjaciółko, czy niemyślisz o ju-
„trze? Ach! Siostro, kiedy ty cierpisz, mogęż
„myśléć o mojém sczęściu! Niestety! kochana
„Agato, chciałam twego sczęścia! wydając cię
„za mąż, mniemałam, że cię uscześliwię; lecz
„wielki Boże! jakżem się zawiodła! Agato, wierz
„mi, na niebezpieczeństwo bycia Matką nie-
„chciéj się wystawiać. Niepojmujesz, niémo-
„żesz pojąć rozdziérających serce przykrości,
„do których to sczęście przemijające doprowa-
„dza. Niech mnie Niebo zachowa, żebym cie-
„bie miała wystawiać na nie! Umiéram, Agato!
„już umarłam z nim, siły mnie opusczają, ser-
„ce zmartwiało, już nieczuję nawet piesczot mego
„męża..... Kochana Agato, podaj mi rękę." Agata opuscza rękę w ręce swéj Siostry, która żywém okiem patrząc na nię rzecze: „Na miłość,
„którą miałam zawsze ku tobie, droga Agato, na
„Niebo zaklinam cię, przyrzecz mi, że jutro
„niepójdziesz do ółtarza. Ach! Siostro czyliżem
„ci już nieprzyrzekła? Póki cierpieć będziesz....
„To nie to, czego od ciebie żądam; przyrzecz
„mi, że nigdy..... Nigdy? zawoła Agata, spu-
„scza oczy, wzdycha i milczy. Cóż? wahasz
„się?.... Niestety! przyjaciółko; patrz na mnie.

„ Przypomnij sobie ten czas, gdym, jak ty, ja-
„ śniała szczęściem, młodością i miłością. Po-
„ równaj z temi pogodnémi dniami okrutny dzień,
„ który mnie oświéca, patrz na żałobę, która
„ mnie otacza, patrz na śmierć, będącą u drzwi
„ mojego miészkania, i w mojém łonie; czuję
„ albowiem, iż boleść je zabiła. Patrz, kocha-
„ na Agato, ile razy trzeba umiérać, będąc mał-
„ żonką i Matką!"......

W téj chwili Wojciech, który stał w końcu łóżka, niémogąc wstrzymać łkania, był usłyszany od Konstancyi. Podnosi się do połowy, wystawia głowę, i daje mu znak, aby się przybliżył. „ Jesteś męczyzną, rzecze mu, spodzié-
„ wam się po tobie więcéj odwagi, niż po twojéj
„ przyjaciółce. Uczyń mi, Bracie, przyrzeczenie,
„ którego ona nieśmié wymówić: niewymaga-
„ łabym tego, gdybym ciebie mniéj znała. Nie-
„ stety! kochasz nas, a rozłączasz nas. Wojcie-
„ chu! nim potępisz moję przyjaźń, spojrzyi na
„ mój los, i sądź mnie. Ach! czuję wszystkie
„ twoje boleści, lecz wszystko zniosę dla Agaty.
„ A jeżeli kochasz Agatę, chceszże, aby cierpia-
„ ła dla ciebie?"

Na te słowa Wojciech odwraca się, i wzdycha, a Doktor obawiając się szkodliwych skutków dłuższego oporu, daje znak młodym kochankom, aby byli posłusznymi Siostrze; łączą więc ręce

w jéj ręku i kolejno powtarzają obietnicę, którą im podaje; lecz ich ręce ściskając się z nową gorliwością, sprzeczne są wyrazom, które wymawiają; w chwili, gdy usta powtarzają przyrzeczenia, że nigdy się niezłączą, serca przysięgają wzajemnie, że do śmierci kochać się będą.

Ta rozmowa nieco za żywa wzniéciła gorączkę Konstancyi; niebyła zbyt mocną, lecz Doktor zapobiegając skutkom, które mogły być szkodliwémi w jéj stanie, osądził za rzecz potrzebną uspić ją, jak to wczoray pomyślnie uczynił. Udało się mu sczęśliwie, i po raz drugi Konstancyją z wolna mocny sen ogarnął, a my w milczeniu pozostaliśmy przy niéj, z tą nadzieją, że noc spokojna powróci jéj zdrowie nazajutrz.

Działo się to w wiliją dnia przeznaczonego na wesele Agaty i Wojciecha. Wszystkie przygotowania zawieszono, a w piérwszych chwilach boleści Walmont zapomniał uprzedzić o tém Matkę swojéj żony, która, będąc zupełnie zdrową, gotowała się do przybycia nazajutrz na wesele swego syna Wojciecha. Zgromadziła wszystkich muzykantów z wioski i wyprawiła ich wieczorem, dla odbycia w nocy podróży, aby nazajutrz rano byli na miejscu przeznaczenia.

W czasie snu Konstancyi spytałem się Walmonta, czyli uwiadomił o swojém niesczęściu

osoby, które zaprosił na wesele. „Przyznam się, „że nie, odpowié Walmont, lecz nasi krewni „i przyjaciele mieszkają w sąsiedztwie, a jako „złe nowiny dochodzą prędzéy niż dobre, mnie- „mam, że wiedzą o mojém nieszczęściu.

Zwróciłem jego uwagę, iż Matka Konstancyi mieszka o trzy mile, i być może, iż niewié o smutném zdarzeniu, że przybywszy nazajutrz, mogłaby doznać wzruszenia szkodliwego w jéj wieku. Natychmiast Walmont wysłał do niéj dawnego sługę, któremu polécił, aby jéj doniósł o śmierci wnuka, z wszelką ostróżnością zachować się mającą, z powodu jéj przywiązania i wieku.

Była to właśnie pólnoc, Konstancyja ciągle spoczywała; Doktor sądził, iż sen jéj trwać będzie do rana, a ponieważ wszyscy byliśmy znużeni, upomniał nas, abyśmy i my odpoczęli. Walmont długo się temu opiérał, lecz gdy mu przychylna Alix przyrzekła, że da znać skoro się Pani obudzi, oddalił się do swego pokoju, Agata i Wojciech udali się smutnie do oddzielnych mieszkań; ja zaś, gdym spostrzegł, że w całym domu panuje spokojność i ciemność, wróciłem na spoczynek do siebie.

Dobra Alix zostaje sama przy Konstancyi, a znużona bezsennością przeszłéj nocy, zdrzymywała się czasami. Podczas jéj chwilowego zaśnięcia, zdaje jéj się słyszéć jakiś hałas, zrywa się na-

tychmiast, bierze światło i biegnie ku drzwiom, a skrzypnięciem obudza swoję Panią. Przybywszy na koniec schodów, nadstawia ucha, lecz nic niesłyszy. Niepewna, czy to sen, czy prawda istotna, a chcąc się przekonać o przyczynie swego przestrachu, siada na schodach, długo słucha z wszelkiém natężéniem, a nakoniec zdrzymawszy się mocno zasypia.

Noc była późna, niebo pochmurne, powietrze spokojne; wszystko spoczywało, Konstancyja tylko sama czuwała. Cichość nocy, samotność, zapaliły jéj wyobraźnią. Siedziała na łóżku, mając nogi i piersi odkryte, z jéj oczu pałających płynęły łzy na twarz wybladłą, słabe światło nocnéj lampy oświécało sprzęty domowe w nieporządku będące, suknie porozrzucane, i próżną kolébkę jéj Syna. Zdawało się jéj, że widzi błąkający się cień jego. Już to wyciągała ku niemu ręce, biegła ku próżnéj kolébce, a drżącą ręką przewracając poduszki, kołderkę, prześciéradło, szukała kochanego Syna; potém odrzucając to wsystko..... „Niesczęśliwa Matko! „zawołała, gdzie go szukasz? wczoraj o téj saméj „godzinie był tutaj, ściskał mnie, pieścił się „zemną. Dzisiaj szukam go w tém miejscu..... „Niesczęśliwa! Już on tu niespoczywa, moje „oczy już go niezobaczą nigdy........ Nigdy? „Czemuż? już niejest moim? Okrutni! wydar-

„li mi Syna, ukryli nawet przedemną miejsce, „gdzie spoczywa..... Czuwają nademną..... Ach! „gdyby mogli zamknąć oczy! gdybym mogła „wyrwać im tę smutną ofiarę śmierci!

To mówiąc zbliża się do drzwi, i z wolna je otwiéra. Swiatło, które Alix miała, zagasło. Alix znużona niewczasem spała w poprzék schodów. Konstancyja postępuje z ręką naprzód wyciągniętą, dotyka się ściany, zwolna spuscza się po schodach; nagle następuje na głowę Alix, słyszy krzyk przeraźliwy, upada ze strachu, spada na sam dół schodów, zrywa się, biegnie do drzwi, zastaje zamknięte, otwiéra okno, wyskakuje, ucieka.

Alix przebudzona uderzeniem w głowę, podnosi się, drżąc nadstawia ucha, nic niémoże słyszéć, słucha jescze, nieśmiejąc odetknąć. Ta cichość zupełna, ciemność, uderzenie przeraża ją nową bojaźnią. Chwiejącym się krokiem wchodzi do pokoju Konstancyi, przybliżając się do łóżka, woła; „Pani! tu jest coś nadzwyczaj„nego, Pani przebudź się! Pani! czy mnie sły„szysz! To mówiąc wyciąga rękę, chcąc ją obu„dzić. Nieba! niémasz jéj! bierze lampę drżącą ręką, szuka w łóżku, pod łóżkiem, po pokoju, lecz nadaremnie. „Wielki Boże! cóż to ma zna„czyć! gdzież jest? kto mnie uderzył,?..... Co „za cichość okropna!.... Ach, Panie! drogi Pa-

„nie! przebudź się i przybywaj, przybywaj,
„przybywaj śpiesznie, Pani moja, nieszczęśliwa
„Pani!......"

Walmont przybiega. „Cóż to!..... cóż się dzie-
„je!..... moja żona?..... Już jéj tu niéma. — Nié-
„ma jéj? Alix, powierzyłem ci ją. Ach! Panie,
„przebacz! o jak nieszczęśliwą jestem! usnęłam
„znużona, lecz zaledwiem oczy zamknęła, gdy
„okropne uderzenie przebudziło mnie, nic nie-
„widziałam, nic niesłyszałam, lecz jestem ska-
„léczoną, i Pani niémasz."

Po tém opowiedzeniu Walmont wydaje krzyk boleści i przestrachu, idzie, wraca się, biegnie, woła, budzi cały dom: „Szukaycie jéj, rzecze,
„biegnijcie, podzielcie się, oświéćcie wszystko,
„zwiédźcie dziedziniec, ogród, drogę, pole, przy-
„prowadźcie ją, albo mi wszyscy odpowiécie. —
„Kogóż, Panie? kogo? moję żonę, Konstancyją,
„moję drogą Konstancyją, biegnijcież, mówię
„wam. Wielki Boże! gdzież ona? chodźcie za-
mną.

W jednéj chwili wszystko oświécono. Jedni szukają w domu, inni w ogrodzie i dziedzińcu, inni po polu, Walmont zachęca ich, prosi, grozi, i przewodniczy wszystkim.

Konstancyja z oczyma obłąkanémi, rozrzuconémi włosami, mając wyciągnęte ręce, postępuje w ciemnościach. Przybywa na smętarz,

i pomiędzy grobami szuka tego, w którym jéj Syn spoczywa. Spostrzega mogiłę, któréj ziemia zdaje się niedawno wzruszona. Na ten widok dreszcz ją przechodzi, a dojrzawszy kwiatów świéżych porozsypywanych: Drogie Dziécię, zawoła, znajduję cię nakoniec! Okrutni chcieli cię wydrzéć Matce?" To mówiąc rzuca się na grób, i ręką przez rozpacz wzmocnioną, usiłuje odgrzebać swego Syna: „Obaczę go.... i umrę....."

W tém słyszy w oddaleniu muzykę wiejską i pienia wesołe. Podnosi się, potém spuszczając oczy na grób: „Niestety, Ciebie już niéma, a oni śpiéwają!....."

Tym czasem pienia zbliżają się. Konstancyja drży z bojaźni. Gdyby ją odkryto!...... Przysłuchuje się z obawą, każdy odgłos przeraża ją, w miarę zbliżania wzmaga się wniéj pomiészanie. Zgraja radosna przechodzi koło smętarza, Konstancyja leżąc na ziemi, zatrzymuje oddech, przydusza łkania, aby usłyszaną niebyła...... Oddala się muzyka, Kostancyja przychodzi do siebie, podnosi się zwolna, lecz odwracając się w inną stronę, postrzega kilka kagańców, i rozpoznaje głos Walmonta. „Ach! zawoła, jestem zgubiona! zdradzona!" pada na grób Syna. Jéj piérwszy upadek, zbyt nagła ucieczka, wysilenie boleści, rozpacz, walka uczuć, wszystko to przyśpieszyło czas jéj macierzyństwa.

Walmont, przybliżywszy się do smętarza, słyszy słaby głos Dziécięcia. Biegnie, znajduje żonę, prawie umiérającą, dającą mu Syna na grobie tego, którego straciła. Alix, która towarzyszyła Walmontowi, śpieszy na ratunek swéj Pani; zanoszą ją do domu pozbawioną czucia. Walmont idzie za nią; zdawało się, jakby niósł to samo Dziécię, które żona jego chciała zgrobu wyrwać.

Po dwóch godzinach Konstancyja zwolna przychodzi do siebie, otwiéra oczy, pogląda na nas. Nakoniec spostrzegając Walmonta, który jéj Dziécię pokazuje, wydaje krzyk przeraźliwy, wyciąga ręce, przyciska do serca Ojca i Syna, i po długich uściśnieniach, wznosząc ręce do góry, rzecze; „Wielki Boże! wróciłeś mi go, chciałam „umiérać, a byłam Matką jescze! Ach, drogie „Dziécię, przebacz mi! niewiedziałam, że radość „znaleziena Syna, przewyższa boleść z jego stra„ty."

Odwraca się potém ku Agacie i Wojciechowi, i rzecze wyciągając ku nim ręce: „Przypo„minam sobie ów smutek, jaki wam sprawiłam, „zapomnijcie o nim. Wczoraj chciałam wam „oszczędzić moich trosków, dzisiaj chcę wam u„dzielić mego sczęścia. Ojcze, rzecze, odwracając „się do mnie: prowadź ich do ołtarza, niezwle„kaj ani chwili:"

Te

Te wyrazy napełniają wszystkich radością, Walmont powiedział, że za sześć dni ślub się odbędzie. Szczęśliwi Kochankowie widzą zbliżający się czas, niemogąc wyrazić uniesień.

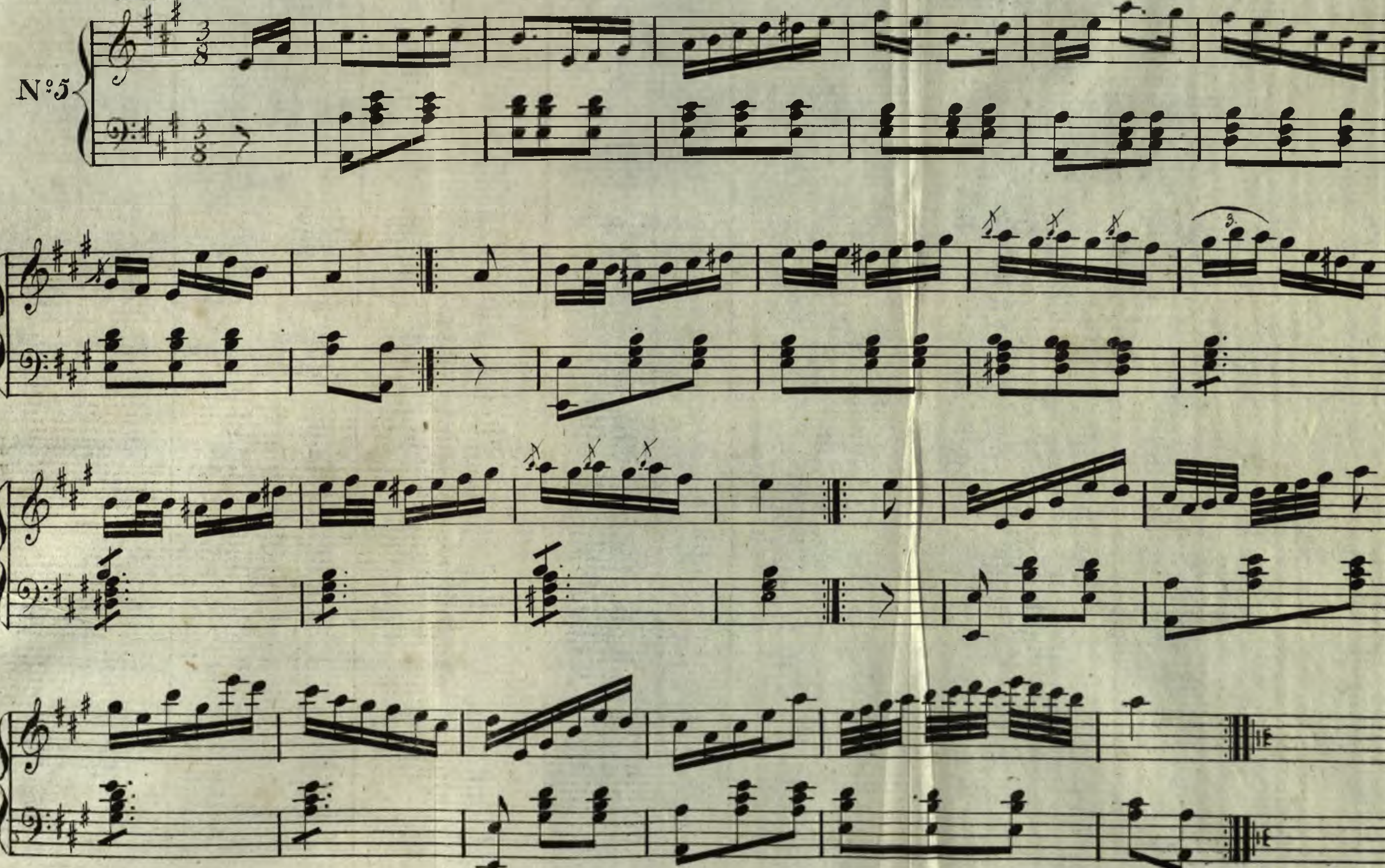
Matka Konstancyi, która po odebraniu wiadomości o jéj nieszczęściu przybyła dzielić z nią boleść, podziela jéj radość. Powszechne szczęście tyle łez wyciska, ile ich boleść wylała: bo im się mniéj spodziéwamy radości, tym ją żywiéj czujemy.

Przy tym zajmującym obrazie, stanęły mi na myśli uwagi dnia poprzedzającego, i wniosłem; że człowiek rostropny, skromnie używać powinien szczęścia, i znosić ciérpliwie smutek, w nadziei, że niedługo potrwa.

W ciągu całéj powieści, nie puściłem z oka nieszczęśliwego Karola. Bez przerwy słuchał pastérza. Widziałem malujące się w jego rysach wszystkie stopnie boleści i odcienia radości. Mimowolnie przykład opowiadany przyrównywał do siebie. Był jescze smutny, lecz słodka nadzieja przebijała się w jego spojrzeniu. Pastérz przestał mówić, nikt z nas nieśmiał zabrać głosu. Lecz Karol czytał w naszych oczach uczucia serc naszych. Nakoniec sam przerywając milczenie, zawołał głosem z duszy pochodzącym, który tak łatwo do niéj trafia: „Tak „jest muszę wyznać, Przyjaciele! życie jest prze-

„ mianą trosków i rozkoszy..... O jak te troski
„ są przykre!..... Jednakowóż przyznaję, że to
„ serce, w którém tak przykre uczucia się ro-
„ dzą, jest siedliskiem najsłodszych. Że w ża-
„ łości, w tém zródle tylu goryczy, można zna-
„ leść przy pomocy czasu, i takich, jak wy,
„ przyjaciół, słodkie pocieszenia. ”

Walec.



(Ner. 6.)

DZIEDZILIJA

CZYLI

Pamiętnik Płocki,

pięknéj Literaturze poświęcony.

Pismo peryjodyczne dla użytecznéj zabawy Rozumu i Serca.

Miesiąc Grudzień Rok 1824.

Wolno drukować.

J. K. SZANIAWSKI,
Rad: Stanu Dyr: Jlny Wych: Publicz:

SPIS RZECZY

zawartych w Tomie II. Dziedzilii.

PROZA.

POEZYJA ORYGINALNA.

Do tego Tomu przyłączone są trzy Walce Fr: Weckiego.

P O W I E Ś Ć.

MARYJA i LUDWIK.

Miéj serce i patrzaj w serce.
MICKIEWICZ.

Dla was opowiem to zdarzenie, czułe i niewinne dusze, dla pocieszenia waszych serc strapionych, lub dręczonych miłością; a jeżeli potrafię choć jeden z korzyścią dla was zniweczyć przesąd, choć jednę łzę wycisnąć, dosyć jestem wynagrodzony.

W czasach, kiedy drobna ślachta mieściła się jescze po możnych dworach, Ludwik P*** młodzian urodzenia dobrego, służył za Koniuszego u Wojewody B***, Pana znacznego majątku, lecz niemniéj zuchwałego i niemniéj dumnego. Pyszny, że wpływem swoim mógł zrywać Sejmy, obsypany zasczytami od Króla, miał tylko w uściech wolność, każdego ślachcica nazywał bratem, ale w sercu czuł dobrze, jaka między nim, a drobną ślachtą różnica. Maryja, jedyna córka jego, tyle łagodna, ile Ojciec dumny, była skarbem, na który Królowie mogli poglądać zawistnie. Przystępna i grzeczna dla

każdego, w krótce się stała celem uwielbienia i pochwał u całego dworu. — Ileż to razy prośba jéj, mogąca zmiękczyć kamienne serca, nieugłaskała gniéwu Ojca, kiedy porywczością uniesiony, którego z dworzan surowo karać zamyślał. Ach! był to Anioł dla dobra innych zesłany na ziemię, Anioł, w najpięknieyszém ciele kobiéty. Jeżeli występkiem jest dać się ująć dobrocią Anioła, dać się oczarować rzadkiémi powabami cnotliwéj dziewicy, taki występek popełnił Ludwik ubogi, gdy ku nadobnéj Maryi najgorętszą pałał miłością.

Nawet sobie samemu bał się wyznać tajemnicy uczuć swoich, tak dalece umiał się ukrywać. Mógłże bowiem sądzić, że tak nierówna miłość uzyska pobłażanie? Maryja była dla niego, równie jak i dla wszystkich łagodną, nieraz nawet poufale i długo z nim rozmawiała, lecz byłyż to oznaki miłości?— Niekiedy przeklinał sam siebie, że tak niepodobny do osiągnienia obrał sobie przedmiot; lecz skoro tylko ujrzał Maryją, obaczył jéj czarodziejski uśmiéch, wnet z serca jego ustępowały zarzuty, nikły, jak chmury przed promieniami słońca, i wystawiał sobie: możnaż mieć oczy a niekochać Maryi?

Tak niemal upłynęło pół roku, gdy przypadek zbliżył go cokolwiek do celu jego usiłowań. W lekkim powozie, zaprzężonym czterema ogni-

stémi Arabami, tak gorącémi, jak klima ich Ojczyzny, lubiła Maryja jeździć na przechadzkę, po żyznych brzegach Dzwiny. Raz unosiły ją konie po tych roskosznych miejscach, w tém oś pęka, ogiery stając dęba, rwą lejce, i słabo tylko umocniony wloką powóz po piasku. Przelękniona Maryja woła ratunku, ale nadaremnie, woźnica leżał, jak martwy, zrzucony z kozła, a przelękły hajduk, z całéj mocy wywracający się podpiérając powóz, już ostatnie wyczérpywał siły. Konie leciały tymczasem ku rzéce, i Maryja byłaby nieochybnie okropną zginęła śmiercią, gdyby nie odwaga Ludwika. — Chodząc za zającami wtedy właśnie, kiedy się ten przypadek zdarzył, słyszy krzyk niewieści, leci, i — o widoku straszliwy! widzi swoję Maryją wybladłą, siedzącą w powozie i załamującą ręce. Ludwik dla ocalenia Maryi byłby nawet, jak drugi Kurcyjusz rzucił się w bezdenne otchłanie, na wieczną zagładę. Wpada między spienione rumaki i wsparty nadludzką siłą, bieg ich wstrzymuje. Ta śmiałość jego uratowała życie Maryi, i chociaż był raniony, z roskoszą ciérpiał dla téj, w któréj spojrzeniach swoje szczęście widział.

Kilka niedziel chorował na rany, niekiedy tajemnie przez Wojewodzankę odwiedziany, która po tym czynie dosyć go polubiła. Niebyła

to miłość, jednakże uczucie prosto do miłości wiodące. Wdzięczna dla wybawcy swojego niewiedziała, że ten wylew czystéj wdzięczności łatwo w kochanie przemienić się może.

Nie tak dobroczynne wpływy lékarza, jak raczéj obecność Maryi uzdrowiła Ludwika. Ludwik wstawszy z łóżka, podziękował Maryi za tyle pieczołowitości, podjętéj w jego chorobie, i po raz piérwszy ośmiélił się przytknąć jéj rękę do drżących ust. „Ludwiku, rzekła Maryia" ileż ci winną jestem! że jescze dotąd żyję, twojéj to mam podziękować odwadze. Żądaj nagrody, jakiéj zechcesz, największa słusznie ci się przynależyć będzie. Ojciec mój zapewne wspaniałym się okaże, dla wybawiciela swéj Córki."— „Uratować życie takiego Anioła, od„powiedział Ludwik, czyliż niedosyć dla mnie „nagrody? Pani, skarby twojego Ojca są ni„czém w porównaniu z twojémi względami, je„żeli te pozyskałem, dosyć jestem szczęśliwy!" To mówiąc ukląknął, i klęczący ucałował jéj rękę. Zarumieniona Maryja z lekka odepchnęła go; drżenie serca omal co ją niewydało, że ją młodzieńca uroda zajęła, a zniewoliła ślachetność. Pojrzawszy na niego czule, wzrokiem, tak, jak sama, niewinnym, uciekła do pobocznéj komnaty, zostawiwszy nadzieję przy Ludwiku.

Wojewoda okazał się także wdzięcznym dla Ludwika, za ocalenie swojéj jedynéj córki. Z Koniuszego zrobił go Marszałkiem dworu, i darował mu dosyć bogate Wójtostwo. Niewiedział, że jedno przyjaźne słowo jego Córki, byłoby mu przyjemniejsze, niżeli wszelkie skarby Korony i Litwy.

Ludwik żył odtąd sczęśliwie, bardziéj niżeli temi dary ucieszony przychylnością Maryi. Codzień czynił jéj nowe przysługi, i codzień doświadczał nowych dowodów przywiązania. To po wonnéj łące zbiérał jéj świéże kwiatki, to łapał ptaszki, które ona lubiła. Nieraz z niebespieczeństwem życia darł się za szpakami, na niebotyczne lipy, ale ta myśl sama, że to czyni dla Maryi, nadawała mu śmiałość i odwagę, jedno uściśnienie ręki było mu najprzyjemniejszą za poniesione trudy nagrodą.

Oboje czując miłość niewyznali jéj sobie z wrodzonéj nieśmiałości, atoli przyjazne im losy, opiekując się swoimi polubieńcami, skłoniły ich i do tego ostatniego wyznania, od którego zwyczajnie zaczyna się nowa epoka w życiu ludzkiém.

Księżyc, ten przyjaciel i powiernik kochanków, ten świadek tylu ofiar miłości, przedziérał się właśnie przez chmury i osrébrzał toczące się powoli nurty Dzwiny, kiedy Maryja

lekka, jak myśl ulotna, czuła, jak łza rozkochanego, przechadzała się po ogrodzie.— Spokojność jéj umysłu odpowiadała spokojności natury, tylko czasami westchnąwszy głęboko, wlepiała swoje błękitne oczy w Niebo gwiazdami osute, i do jéj ócz podobne.

Ludwik, ukryty za płaczącą brzozą, przypatrywał się téj czarującéj istności, wszystko w niéj zachwycało go, i szelest jéj ulotnéj szaty, i w niełądzie rozpusczone włosy, owite w pierścienie, a pływające po szyi białéj, jak śniég młody. Usiadła w altanie, blusczem i wonnémi różami obrośniętéj, i oddając się słodkiéj melancholii, w te odezwała się wyrazy: „O Lud„wiku! dla czegóż cię wyżéj niepostawiła for„tuna, lub dla czego ja tobie równą niejestem; „uboga chatka miałaby dla mnie powaby, gdy„byś ty był wniéj; teraz nawet niémożesz, nie„powinieneś wiedzieć, że cię Maryja kocha."— „Kocha?" zawołał Ludwik,— i w oka mgnieniu, prędzéj niżeli połysk błyskawicy, rzucił się do nóg spłonionéj Maryi. Napróżno Maryja chciała uciéc przed nim. „Odbierz mi życie"— mówił zatrzymując ją, a powtórz raz jescze to czarodziejskie słowo *kocham*, które mi nowe dało życie." Nieodpowiedziawszy spuściła Maryja na dół oczy, westchnęła mimowolnie i milczała, ale jakże to milczenie było wymowne.—

Ten niczego niepojmie, kto języka ócz pojąć niémoże.— Ludwik zrozumiał go, a ośmielony tém nowém stwierdzeniem miłości, wstaje i ściska jéj śnieżne dłonie z uczuciem.....— „Co ro-„bisz Ludwiku?" zawołała Maryja, wyrywając się. „Także to nadużywasz mojéj powolno-„ści? cóżem ci uczyniła, że mnie robisz nie-„szczęśliwą?"

Ludwik.

Niesczęśliwą, kiedy cię ubóstwiam, kiedy całe życie moje dałbym za ciebie? Nie,— niezapomnę ja nigdy, co winienem twojéj cnocie, i godności twojego Ojca, niezapomnę,— choćby to życie kosztować mnie miało.

Maryja.

Niewiele ci winna jestem, że jedną ręką ocalając dni moje, drugą chcesz mnie wtrącić w przepaść udręczenia:— zapalasz we mnie płomienie, którym uledz mi niewolno. O! jakże szczęśliwsza jest najlichsza dziewica téj włości, ma wszystko, bo może kochać, kochać kogo jéj się podoba, gdy ja tymczasem padnę, jako ofiara chciwości lub dumy.

Ludwik.

Dusze nasze, jedném oddychają uczuciem, nasze serca zrozumiały się, głos jakiś potajemny powiada mi, żeśmy dla siebie przeznaczeni. Słuchajmy go, i w téj uroczystéj chwili uczyńmy

sobie świętą przysięgę, że wiecznie kochać się będziemy.

Wiecznie powtórzyła Maryja. Zbliżył się czas rozstania, przyrzekli się widywać, i odeśli: Ludwik powrócił do oficyn, a Maryja w swojéj komnacie na samotne rzuciła się łóże; resztę nocy strawiła bezsennie, wstała na odgłos piérwszego dzwonka, i poszła do oświeconéj lampą zamkowéj kaplicy, złożyć przed Najwyższego tronem przysięgę wczorajszego wieczora. Łzy mimowolnie płynęły po jéj licach, a ten, co zawsze na płaczącą niewinność litościwém patrzy okiem, zapewne wysłuchał jéj prośby.

Ich niewinna miłość wzrastała stopniowo. Zdawali się zapominać o niepodobieństwie połączenia się na wieki. Maryją, otoczoną przepychem i bogactwami dworu Wojewody, szanował Ludwik jako Córkę swojego Pana, ale Maryją kochankę uwielbiał z najżywszą miłością.... W miłości bowiem niéma żadnéj różnicy:

Ta Bogini szperaniem herbów się nietrudzi,
A w jéj oczach jest równa godność wszystkich ludzi.
Niepozwala, by człowiek, został nad nią panem,
I często łączy serca rozdzielone stanem.

Szczęśliwego ze wszech miar Ludwika zawiść ścigała. Natecki, człowiek tyle zły, ile uprzedzony o sobie, zostawszy Koniuszym po Ludwiku, zazdrościł mu względów u Wojewody, i jak cień

ścigał wszystkie jego kroki. Pragnął usilnie podejść go ze słabéj strony, ażeby na upadku swojego poprzednika siebie wywyższył. Ale Ludwik, zawsze prawéj trzymając się drogi, w niczém oskarżony być niémógł. Przywodziło to Nateckiego do rozpaczy, ile, że sam występny, wątpił o cnocie. Już chciał zaniechać śledztwa, i pożądańszéj czekać pory, gdy jakiś zły duch nastręczył mu okoliczność podłego czynu. Przechadzał się po ogrodzie wieczorem, i układał myśli zgodne ze swoją czarną duszą, podobną do cieniów przepaści. — Traf zrządził, że udał się w tę samę stronę ogrodu, gdzie kochankowie w ówczas przebywali. Nieuważając, zbliża się do owéy rozkosznéj altany. Słyszy głos niewieści, wychodzący z jéj głębi. Podłość zazwyczaj z ciekawością się patrzy. Nadstawia ucha, słyszy wyraźnie imie Ludwika. Ani wątpił, że to jego jakaś miłosna intryga, a mając nadzieję, że to odkrycie dalszego mu użyczy światła, nierusza się z miejsca, ale słucha, wciągając dech w siebie. Poznał głos Maryi. O! co za ważne dla niego odkrycie! leci, każe budzić Wojewodę, zadyszony wpada do jego komnaty, i uwiadamia go o wszystkiém. Zaledwo wierzyć może Ojciec, że jego Córka mogła się tak dalece zapomnieć, jednakże idzie, ażeby własnémi przekonał się oczyma, idzie, prowadzony

przez Nateckiego. Obudzeni służący czekają rozkazów Pana, bo winnéj Córki niechce nawet przed oczyma domowników oszczędzić. Na palcach przedziéra się przez gęste szpalery, przez ulice zwilżone rosą, staje nareście koło owéj altany. Posępna panowała cisza, tylko puszczyk odzywał się żałośnie.

Aż nadto przekonany Wojewoda, klasnął w ręce, a na ten znak umówiony wypadli ukryci dworzanie. Wchodzą z pochodniami do altany. Ich widokiem przestraszeni kochankowie zdrętwieli, krew się im ścina w żyłach, bladość występuje na ich twarzach, chcą uciekać, lecz jakaś moc nieodgadniona przykuła ich do ziemi. Zostali schwytani. Na próżno u nóg nieprzebłaganego Ojca Maryja zaléwała się łzami. Wojewoda zimny i nieczuły odtrącił ją od siebie. „Precz!" zawołał „przecz z moich oczu, niego-„dna mojego nazwiska, i sławy moich przodków. „Dworzanie pełnijcie mój rozkaz, a waszę po-„winność."— „Nierozłączajcie mnie od mojego „Ludwika" rzekła Maryja—„z nim żyć, z nim „umiérać pragnę. On niewinny, jam go do te-„go przywiodła." To mowięc objęła go rękoma, właśnie, jak gdyby oswobodzić go chciała. Wojewoda zgrzytnął zębami, oczy mu się zaiskrzyły. „Rozłączcie ich, odprowadźcie ją do zam-„ku" krzyknął na dworzan—„tam niech ocze-

„kuje zasłużonéj kary.”— Woka mgnieniu porwali ją dworzanie i unieśli na swoich rękach. „Tego zaś łotra”—rzekł, wskazawszy na Ludwika „wtrącić do najgłębszego więzienia, niech „za tak wielkie odpokutuje przestępstwo.” Stało się zadosyć jego woli. Przy gorejących pochodniach, prowadzą go po długich korytarzach do więzienia, i osadzają w lochu wilgotnym. Drzwi żelazne zatrzaśnięto za nim. Siedząc w téj ciemnicy tylko za Maryją wzdycha, sam wszystko znosiłby chętnie, ale jéj ciérpienia odbiérają mu odwagę i rozpacz miota jego sercem. „O Maryjo” zawołał— „do czego przywiodła „nas miłość nasza! nacóżeśmy się kochali, kie„dy na téj ziemi nierównym kochać się nie„wolno. Ja to zrobiłem cię nieszczęśliwą, ja.....” To mówiąc upadł na ziemię, tknięty nadzwyczajną boleścią, jęknął głęboko, a jęk ten okropne powtórzyły mury. Łzy płynęły po jego licach. Ach.! te sklepienia nieraz już, na hańbę ludzkości, widziały płynące łez zdroje.

Maryją osadzono w klasztorze, i oddano pod dozór zakonnicom, uposażonym przez pobożnych przodków Wojewody. Rok miała ciérpieć w tém zamknięciu, dopókiby niezapomniała niegodnéj siebie miłości; ale czémże jest rok jeden dla kochającéy prawdziwie? Ludwik był jéj zawsze na myśli, czyli modliła się w kościele,

czyli w samotnéj celi, obwarowanéj żelaznémi kratami dumała nad swojém nieszczęściem, przy wieczornéj lampie, zawieszonéj nad obrazem. Wtedy ufność lała balsam w jéj serce, bo wiele może w duszy niewinnéj i niczém nieskażonéj zaufanie, ustalone na uczuciach wiary. Szczęśliwy na kim Religija tak wielkie czyni wrażenie.

Pół roku siedział Ludwik w tém więzieniu, nędznie karmiony z rozkazu Wojewody, lecz Nieba ulitowały się nad jego cierpieniem, jak nad każdym, czy to wcześnie, czy późno litować się zwykły. Roku 1786. dnia 29. Lutego wybuchła Konfederacyja Barska (*) która wybawienia jego miała stać się narzędziem. Odważny Kazimiérz Puławski z bratem swoim Franciszkiem, zwycięzca pod Brześciem i Słoninem, coraz więcéj zgromadzał pod swoje sztandary ochotników. Wojewoda należał do przeciwnéj

(*) Józef Puławski, Starosta Warecki, z trzema Synami, i z dwoma Synowcami, z Franciszkiem Potockim, Wojewodą Kujawskim, Michałem Krasińskim, Podkomorzym Rożańskim, Biskupa bratem, i z kilku innémi, dali początek Konfederacyi Barskiej, któréj Jeneralnym Marszałkiem naznaczony Michał Krasiński.

J. Lelewel w dodatku do Historyi Książąt i Królów Polskich Teodora Wagi r. 1819. str: 24.

strony, i stał się przeto celem jego nienawiści. Zbrojną ręką napadł Puławski na jego zamek. Bez krwi rozléwu, którą zawsze oszczędzał, rozbroił żołnierzy, będących w zamku Wojewody, i przedarł się z orężem w ręku do samych pokojów. Wojewoda uciékł jescze przed tygodniem, dowiedziawszy się o zamiarach konfederatów, i ukrywał się u przeciwnéj strony.— Tym czasem gospodarowali konfederaci w jego pałacu, pozabiérali mu skarby, popsuli sprzęty domowe, powypijali stare i jescze po pradziadach odziedziczone wino. Tak zawsze są okropne skutki wojny domowéj.

Szukających wina zaniósł przypadek i do owéj jaskini, w któréj ciérpiał nieszczęśliwy Ludwik. Już dwa dni niedonoszono mu jedzenia, bo domownicy Wojewody zapomnieli o nim, niespodziéwanym napadem konfederatów strwożeni. Już osłabiony na siłach spokojnie oczekiwał śmierci. Słyszał wystrzały, szczęk oręża dolatywał do niego, lecz, coby to było, niémógł żadną miarą odgadnąć. Tak, kiedy w religijném zaufaniu zdał się na Opatrzność, która żadnego człowieka nieopuszcza, nagle drzwi się otwiérają, wyrąbane przez konfederatów. Blask pochodni oświécał te mury, nigdy takiego nieznające światła. Widząc wybladłego człowieka, leżącego na wiązance słomy, jeden z nich zapytał się tonem

litości: „Kto jesteś przyjacielu?"— „Dajcie mi „wprzód posiłek" odpowiedział słabym głosem Ludwik,—„a potém opowiem wam dzieje moje„go niescęścia." Natychmiaat posilili go konfederaci, puhar, ożywiającém napełniony winem, cokolwiek mu sił dawnych powrócił. Zaczął opowiadać swój przypadek, i nim wszystkich rozczulił. Nawet najzatwardzialsze dusze mają jakiś tajnik w swoiém sercu, do którego czasami czułość się przedrze; bez czułości niéma człowieka.

Zaprowadzono go do sali, gdzie tylekrotnie usługiwał Wojewodzie i Maryi.— Teraz tylko ślady zniweczenia obaczył. „Gdzież ja jestem?" zawołał Ludwik, „co się stało z Wojewodą?" i podejrzliwym wzrokiem patrzył na konfederatów. Chciał się pytać o Maryją, ale nieśmiał, słowa mu umarły na ustach. Tu opowiedzieli mu konfederaci przeznaczenie swoje i los Wojewody.— Chociaż był długiém cierpieniem pobladły, jednak podobała się Puławskiemu jego ślachetna, męzka postać, znamionująca dawną jego piękność. „Ty będziesz naszym" rzekł Wódz konfederatów,—„naszym" krzyknęli jego towarzysze. „Teraz masz porę zemścić się na Wo„jewodzie." „Chętnie mu przebaczę" odpowiedział Ludwik,— „gdybym tylko wiedział, „co się z Maryją stało, czy żyje, czy jescze

„o mnie pamięta?" Jeden z przytomnych téj rozmowie dworzan uwiadomił ich o miejscu, w którém przebywała Maryja. Konfederaci postanowili wydobyć ią z klasztoru, i w nagrodę ciérpień Ludwika oddać mu ją za małżonkę.

Kto opisze trwogę zakonnic, jaką uczuły, òbaczywszy konfederatów pod murami klasztoru. Ale waleczni konfederaci zaręczyli im słowem honoru, że się niczego obawiać niémają, a zapytawszy się o Wojewodzankę, wprowadzeni zostali do jéj celi. Zakonice, ulegając przemocy musiały piérwszy raz postąpić w brew prawu swojemu, i wpuścić męzczyzn do wewnętrza murów klasztoru, Z twarzą, jak noc posępną i wróżącą jakoweś nieszczęście, przewodniczyła im zakonnica, a Ludwik postępował za niémi, miotany trwogą i nadzieją. Wiedział, że go następna chwila może uczynić sczęśliwym, a jednak jescze obawia się czegoś, przeczucie niepokoiło jego serce. Ten tylko może uwierzyć w głos potajemny, kto w podobnych, jak Ludwik, znajdował się okolicznościach.

Zwolna otwiéra zakonnica drzwi celi. W Ludwiku zadrżało serce. Wchodzą wszyscy. Na samotném łożu leży umiérająca dziewica, oczy zakłęsłe mając zawarte. Była to niesczęśliwa Maryja, którą srogość Ojca, i tęsknota za kochankiem w tak okropnym stanie pogrążyły.

Zdawała się niesłyszeć przybywających, tak mocnym snem była uśpiona, a może snem wiecznym! Zaledwo postrzegł ją Ludwik, upadł na kolana przed jéj łożem, a w rozpaczy pogrążony, z przyciskiem ucałował jéj rękę. „Szanujcie jéj spoczynek" rzekła zakonnica,—„walczy „ona z iskierką życia, niech pojednana z Bo„giem pójdzie na jego łono." Konfederaci wyśli, tylko się Ludwik pozostał, i stara zakonnica; piérwszego bowiem niemożna było żadną miarą oderwać od łóżka: groził, że się przebije, jeżeli nieuczynią zadosyć żądaniu, i niezostawią go przy Maryi. Trzymał jéj rękę w swojéj dłoni, ze drżeniem liczył gasnący puls w jéj żyłach, wzrok jego utonął w jéj wybladłych policzkach, niekiedy całował ją w usta zsiniałe, jak gdyby chciał jescze zatrzymać jéj duszę, która się wyrywała z więzienia do wieczności.

Tak przetrwał przy niéj dzień cały i połowę nocy, każda chwila rodziła w nim nadzieję i trwogę. Oczekiwał rychło Maryja otworzy oczy.— Już zegar wieży klasztornéj chrapliwym dzwiękiem ogłosił godzinę dwunastą; a ona jescze spać się zdawała. Słabo migająca się lampa, rzucając na jéj oblicze swój promyk, czyniła ją do posągu podobną. Otwiéra nareście te błękitne oczy, które bywały wszystkiém dla Ludwika, otwié-

otwiéra, ale go niepoznaje. Jakaś wewnętrzna radość malowała się na jéj gasnącém obliczu, był to skutek spokojnego sumienia. „O Maryjo! „czyliż mnie niepoznajesz?" zawołał Ludwik, ale ona już niesłyszała jego głosu, który jeden tylko byłby może w stanie zatrzymać na chwilę gasnące jéj życie. W krótce bez bólu, bez wewnętrznych zgryzót zamknęła na wieki nadobne oczy, a Ludwik utracił przytomność. Dopiéro głos posępny dzwonu, oznajmujący mieszkańcom tego klasztoru o śmierci ich towarzyszki, obudził go z chwilowego letargu. Dzień zajaśniał swoją koleją, ale dla niego niebyło już ani natury, ani słońca, a promienie dnia, padające na zwłoki jego kochanki, były dla niego pociskami śmierci. Odkrywały mu całą okropność jego niescześcia, cały ogrom jego smutku. Wiele winien był czuwającéj nad nim Opatrzności, że w tym straszliwym zamęcie uczuć, w tym napadzie tłumiącéj się w jego piersiach rozpaczy życia sobie nieodebrał.

Na smętarzu klasztornym pochowano Maryją. Upiękniona nowém życiem, przelatuje zapewne po gwiazdach, po milijonach światów, i czuły wzrok rzuca na strapionego Ludwika. Ten niepocieszony kochanek dni i nocy przepędzał na zimnym jéj grobie, wlepiając oczy w tę ziemię, pod którą spoczywało najlepsze w świecie ser-

ce, które i teraz biłoby dla niego, gdyby serce w grobie bić mogło. Oblewał łzami ten świeżo wysypany pagórek, i zapewne kwiaty, które z powrotem wiosny zajaśnieją na téj mogile, będą winne choć w części życie swoje łzom jego.— Wszystko na coś przyda się w naturze, i łzy człowieka mają cel i użytek.

Zaledwo przekonywające Puławskiego rady zdołały wyrwać Ludwika z klasztornego obwodu. Zawsze był posępny, zawsze zamyślony. Już z jego serca uleciała ta nadzieja sczęścia, która przez całe życie uśmiecha się do każdego człowieka. Zamknięty w samym sobie, bez radości, podobny był do drzewa, co utraciwszy swoje ożywcze soki, usycha powoli. Nieznośnémi były mu chwile pokoju, ale najszczęśliwszym się być mienił w śród grzmiących burz i nawalnic, w śród sczęku oręża i kul armatnich trzasku. Wtedy ożywiała się samotność jego duszy, żal usypiał na chwilę w jego sercu. Z zimną krwią rzucał się na szeregi nieprzyjaciół, rozpacz kierowała jego orężem, jego razy były tak pewne, jak pociski śmierci, bez wzdrygnienia się patrzał na katusze i męki umierajaycch, bo całe jego uczucie zostało się na grobie Maryi. Tym sposobem walcząc stał się sławnym, stał się bohatérem. Ścisłym przyja-

źni węzłem połączony z Puławskim, był nierozdzielnym wypraw jego towarzyszem. Kilka krotnie ocalił jego życie, narażając własne; bo cóż mu już było po życiu, kiedy wdzięki jego utracił?

Gdy Konfederacyja rozproszoną została, Puławski popłynął do Ameryki, walczyć w szeregach Powstańców. Ludwik płynął z nim także na jednym okręcie, lądy i morza rozdzielały go od Polski, a nic od Maryi rozdzielić go niémogło. Duch jéj unosił się przed nim po morskich bałwanach, i przelatywał po skałach nowego świata, wróżąc mu bliskie nieszczęście.— Spełniła się niestety! okropna wróżba; zginęli obadwaj pod Sawannacz. Co się tyczy Wojewody, ten umarł ze zgryzoty za Córką, którą swojém okrucieństwem życia pozbawił.

CHRZANOWSKA,

CZYLI:

OBLĘŻENIE TRĘBOWLI.

ORYGINALNA BALLADA.

Świszczą strzały, biją gromy,
Biją gromy, świszczą strzały;
Ogień trawi pyszne domy,
Drżą zamki, chwieją się wały.
W kim nieszczęśliwych obrona?
Walczy daleko Jan trzeci;
Już ich odwaga zwątlona,
Już piorun zagłady leci.
Grad kul kruszy słabe szańce,
Mężnie bronionéj warowni:
Ibraim wzywa mieszkańce,
Grozi srogością katowni.
Świszczą strzały, biją gromy,
Biją gromy, świszczą strzały;
Ogień trawi pyszne domy,
Twiérdzy posady zadrżały.
Dotąd męztwo krzepi ducha,
Lecz gdy z Pospolitéj Rzeczy,
Ginie ratunku otucha,
I nagła pomoc odsieczy;
Gdy głód jątrzy jady piekła:
I bliska grozi zagłada,
Poddać się! spólnie wyrzekła,
Z Chrzanowskim wojenna rada.

Poddać Trębowlę! o hańbo! o wstydzie!
Przelęknione mnóstwo wrzasło;
Ten głos powszechny z ust do ust idzie;
I zwiastuje śmierci hasło.
Nieufać Ojczyzny stanom,
Na pewną śmierć, na męczarnie,
Poddać się, ach! Muzułmanom,
Ten przestrach wszystkich ogarnie.

Gdy tak pewna ziomków zguba,
I nadziei zgasł ostatek,
Stała Polka, Polski chluba!
Wzór nieśmiertelny Sarmatek,
Z mieczem w ręku, w hełmie,
w zbroi,
(Ogniem pałało jéj skronie)
Śpieszy, biegnie, i już stoi
W zadumioném Mężów gronie.

„Niegodni Przodków imienia!
„Wiem, co zaszło w waszém kole,
„Ja wam użyczę ramienia,
„Raczéj śmierć niż hańbę wolę.
„Niemali wsparcia w orężu,
„Weź mi życie tém żelazem;
„Potém z innymi giń, Mężu!
„W gruzach twiérdzy gińmy razem.

„Lub jeżli Ojczyzny całość,
„Dasz na pogardę Europie;
„Zawstydzę twoję niestałość,
„I miecz w twych piersiach utopię!
„Lecz nie; widząc twoje blizny,
„Z nich pewne rosczę nadzieje,
„Że miłość lubéj Ojczyzny,
„Że cię jéj honor zagrzeje.

„ Śpieszcie ze mną! rzućcie trwogę,
„ Nowéj doświadczmy wyprawy,
„ Zwycięztwa wskażę wam drogę,
„ Lub umrę na polu sławy."

Te wyrzuty męzkie czoła
Okryły wstydu pomroką:
Milczenie tylko do koła;
Nieśmiałe oczy powloką.

Chrzanowski nagle powstanie:
„ Polacy! zwycięztwa syny!
„ Za mną! odnówmy spotkanie,
„ Z chwałą ojczystéj krainy!

„ Zostań w twiérdzy, Żono droga,
„ Walczyć jest Mężów udziałem:
„ A gdy zginiemy od wroga;
„ Weź pomstę z świętym zapałem.

„ Piérzchną z trwogą Muzułmanie,
„ Przed wami zwycięztwa syny!
„ Za mną! odnówmy spotkanie,
„ Z chwałą ojczystéj krainy!"

Już ochocza młodzież śpieszy,
Na ten głos, na zamku wały;
Chrzanowski dowodzi rzeszy,
Biją gromy, świszczą strzały.

Mężni opuszczają szaniec,
W ich ustach Boga Rodzica;
Zbity ucieka pohaniec;
Starta duma półksiężyca.

Zawsze naprzód, zawsze śmiało,
Tylko pędzą, tylko sieką;
Zwycięztwo wieńczy ich chwałą,
A wróg daleko! daleko!

Bisurman sił resztą ziéwa:
„ Daléj za mną! daléj dzieci!"
Tak Chrzanowski swych zagrzéwa,
I jak piorun z nimi leci.

Ścielą trupem Muzułmany,
Wódz się do środka przedziéra:
O straszne losu odmiany!
Mścicielka powiek dowiéra;

A gdy się do niéj przybliża,
By Turków znisczyć tą klęską;
Grot za przedarciem paiża,
W pierś mu ugodził zwycięzką.

Upadła zbroja na zbroję,
Spólném objęci ramieniem,
Konają mężni oboje,
Wieczność osłania ich cieniem.

Tam ich zwłoki towarzysze
W jednym położyli grobie:
Często, gdy liściem kołysze
Wietrzyk o pólnocnéj dobie,

Oboje z grobu wychodzą,
W czułych uściskach oboje:
Całe chwile na nich schodzą,
Potém znikają oboje.

Raz te ich słowa słyszano:
(Ze łzami każdy je wspomni,)
„ Umrzéć za ziemię kochaną
„ Uczcie się od nas potomni!"

Uczcie się, jak za jéj całość,
Droga śmierć, nędza i blizny;
Uczcie, co może wytrwałość,
I święta miłość Ojczyzny.

Ciesz się, Narodzie, z téj chwały,
Jaką ród Polek jaśnieje:
Nieznał podobnéj świat cały;
Przy niéj cóż stu wieków dzieje?
Wielką jest sława oręża,
Do niéj Bóg stworzył męzczyznę;
Tu jedna Polka zwycięża,
Jedna ocala Ojczyznę!

ZIEMIAŃSTWO WIRGILIJUSZA.

POCZĄTEK PIEŚNI I.

Co plon bujny zasila, w jakim znaku Nieba,
Ziemię uprawiać, z tyką żenić wino trzeba,
Jak chodzić koło trzody, i chodować woły;
I jak się pielęgnują pracowite pszczoły,
Śpiéwać zacznę, Meceno. O wy, słońca świata,
Które nowe po Niebie zataczacie lata,
Ty, Bachu i Cerero; jeźli żyzne plony,
Za Chaońskie żołędzie wydały zagony;
A wino zrumieniło wodę z waszéj woli;
Wy, Bóstwa opiekuńcze, wieśniaków i roli,
Czyste Nimfy, Dryjady i Faunowie leśni,
Wasze ja dary sławię, natchnijcie me pieśni.
Ty, któremu pod ciężkiém berłem ziemia drżała,
I pierwsza wiatronoga rżącego wydała;
I ty, mieszkańcze lasów, któremu trawista
Łąka Cei wypasa śnieżnych cielców trzysta.

Opuść bory ojczyste i Licejskie gaje,
Jeżeli Menal twojéj opieki doznaje.
Panie! stróżu owieczek, Tegei życzliwy,
Pallado, coś wskazała użycie oliwy.
Wynalazco krzywego pługa Tryptolemie,
Ty, który młody Cyprys, co opuścił ziemię,
Kochanka Apollina piastujesz, Sylwanie;
Wszystkie Bóstwa! mające o roli staranie,
Które karmicie przyszłe urodzaje ziemi,
Zasilając je z Niebios wody obfitemi;
Sprzyjajcie mi łaskawie, z waszego natchnienia,
Niech zawsze boski zapał ożywia te pienia.
I ty, którego w krótce do Olimpu progów,
Lecz niewiadomo, jakie przyjmie grono bogów.
Cezarze, czy ci będzie rząd ziemi oddany,
Czy opieka rolnictwa i roku przemiany;
A Wenus przyozdobi mirtem syna skronie,
Czyli ci będą służyć mórz rozległych tonie,
A żeglarze, jak Bóstwu, poświęcą ofiary;
Władaj ostatnią Tulą; niech, jak ślubne dary,
Wszystkie wody zięciowi poruczy Tetyda.
Czy do późnych miesięcy Jowisz znak twój przyda,
Tam, gdzie się niedotyka nożyc Erygona;
Oto spiekły Niedźwiadek już kurczy ramiona,
I więcéj ci nad słuszność ustępuje Nieba.
Jakkolwiek cię ubóstwim, (bo tronu Ereba
Niezechcesz, ani będziesz władzy takiéj chciwy:
Chociaż Grecyja wysławia Elizejskie niwy,
A Prozerpina stamtąd za Matką niewraca,)
Niech ma sczęście od ciebie śmiała moja praca,
Wspiéraj tkliwie rolników, bądź pomiędzy niemi;
Dziś przywykaj do ślubów posłusznej ci ziemi.
Z wiosną, gdy w siwych górach śniegi się stopiły,
A ziemię przepulchnioną zwolnił zefir miły,

Niech jęknie wół roboczy jarzmem obarczony,
I niech lśniący się lemiesz przerzyna zagony.
Niwa dwie zim, dwa lata leżące odłogiem
Zachodnego rolnika żniwem darzy błogiem.
Stodoły zbóż natłokiem rozparte zostaną,
Ale nim zaczniesz ziemię uprawiać nieznaną,
Naprzód wiatry i zmiany rozmaite Nieba,
Miejsc naturę, zwyczaje Ojców znać potrzeba;
Co jaka ziemia wydać, a co zawieść może.
Tu się wino rumieni, tam połyska zboże;
Tu przez się trawa, indziéj zielenią się drzewa.
Patrz, jak na Tmolu szafran zapachy rozsiewa.
Kość słoniowa z Indyi, wonie z miękiéj Saby;
A nadzy Chalibowie ślą żelaza sztaby;
Pont ma léczące bobry, Epir klacze dzielne,
Którym uplata Elis wieńce nieśmiertelne.
Te wiecznie miejscom pewnym przepisane prawa,
Taka im od natury nadana ustawa,
Gdy ziemia pusta, z głazów Deukalijona,
Wytrwałym ludzi rodem była zaludniona.
Więc, jeśli bujna rola, niech w piérwsze miesiące,
Topią w nię silne ciołki żelazo błyszczące,
Aby piasczyste lato ogniami żywnemi,
Przetrawić mogło bryły pooranéj ziemi.
Jednak skoro grunt będzie i suchy i płony,
Dość płytkie o Arkturze poskładać zagony,
Tak pięknym urodzajom nieprzeszkodzą zioła,
I wilgoć w chudym piasku utrzymać się zdoła.
Ugór pożęty niechaj naprzemian spoczywa,
Odlogiem się zasila wypłoniała niwa.
Tam posiéj żółte zboże za roku odmianą,
Skoro z brzeczącym strączkiem zebrane zostaną,
Lub jarzyny wesołe, lub wysmukła wyka,
Lub ponurego z grubem ździebłem słonecznika

Las głucho szeleszczący. Bo suszy zagony
Len, owies i mak nawet, snem Lety skropiony.
Z ugorem pewna korzyść i łatwiejsza praca,
Gdy dzielność suchéj ziemi zwóz tłusty powraca,
Albo warstwa popiołów użyzni ją czarna;
Tak wypoczywa rola za odmianą ziarna.

URATOWANA OFIARA.

Angielski Kapitan okrętowy Snellgref (Snellgrave) pomimo nienawistnego swojego zatrudnienia, wszędzie był znany z ludzkości. Odbywał często podróż do Afryki, i prowadził tam handel Murzynami niewolnikami. Obmiérzły ten handel, którego zwyczaj nigdy usprawiedliwić niémoże, bo jest zakałem człowieczeństwa, był nieraz dla tych, co się nim trudnią połączony z wielkiém niebespieczeństwem. Przeto Europejczykowie nabywający niesczęśliwych Negrów, muszą ich przez całą noc i wielką część dnia trzymać w zamknięciu na okrętach; a jednak zdarza się, że niewolnicy, pomimo wszelkich ostróżności, względem nich zachowanych, znajdują bardzo często sposobność umówienia się wzajemnego, i zrobienia buntu, pod czas którego ich panowie nieraz życie tracą.

Snellgref nakupił wielu Negrów na brzegach Kalabaru. Pomiędzy tymi nieszczęśliwymi szczególniéj zwracała jego uwagę niewiasta, która była bardzo smutną i obojętną na wszystko.— Poruszony jéj łzami, zapytał się przez tłumacza o przyczynę smutku i płaczu. W odpowiedzi usłyszał, że opłakiwała jedyne dziécię, które jéj dniem wprzódy zginęło, a z którym ją teraz na wieki rozłączono. Kapitan kazał ją przeprowadzić na swój okręt, i tego samego dnia jescze, Książe albo Król owego Państwa zaprosił go do siebie. Snellgref udał się do niego; ale znając dzikość tego ludu, wziął ze sobą dziesięciu dobrze uzbrojonych majtków i kanonijera. Wprowadzono go w głąb kraju, gdzie zastał Króla, siedzącego pod cienistémi drzewami na wyniosłém krześle.— Było tam liczne zgromadzenie, około Króla stało wielu znakomitych Negrów; straż jego przyboczna składała się może z pięciudziesiąt żołniérzy, uzbrojonych w łuki i strzały, mających szable przy boku, a dzidę w ręku. Ta straż stała nieco o podal za Królem. Anglicy, z bronią na ramieniu, stanęli na przeciw Króla. Snellgref ofiarował mu w podarunku niektóre drobnostki Europejskie, a gdy skończył przemowę, usłyszał przytłumione jęki, co go napełniło zgrozą i trwogą. Obróciwszy się zobaczył maleńkiego Negra, który do pala

w ziemię wkopanego był przywiązany za nogę. Zdawało się, jakoby dwaj Negrowie, dziwacznie ubrani, z twarzą odwróconą, trzymając w ręku topory, strzegli téj dzieciny. Płakał żałośnie, poziérał ciągle na tych okropnych ludzi, i jakoby ich miał błagać, wznosił ku nim swoje małe rączki, a oczy jego łezki napełniały. Gdy Król spostrzegł niespokojność, jakiéj nabawił Snellgrefa ten osobliwszy widok, sądząc, że go uspokoi zapewnieniem, kazał mu powiedzieć, aby się nielękał dwóch owych Negrów. Poczém oświadczył wędrowcom w uroczysty sposób, że to dziécię było ofiarą, którą miano właśnie poświęcić bożkowi *Ogho*, dla dobra całego państwa: na te słowa zadrżał Snellgref od zgrozy. Miał tylko przy sobie dziesięciu ludzi. Dwór i straż przyboczna Książęcia Afrykańskiego wynosiła głów kilkaset; lecz litość i miłość ludzkości do tego stopnia uniosły Kapitana, że postanowił wcale niezważać, ani na liczbę, ani na dzikość tych ludzi. Przyjaciele! zawołał, uratujmy tę niewinną dziecinę! daléj za mną! To mówiąc pobiegł do małego Negra. Anglicy przejęci tém samém uczuciem pośpieszyli za nim. Negrowie wydali krzyk okropny, i wrzeszcząc uderzyli na Anglików. Snellgref dobywa pistoletu z kieszeni, Króla ogarnęła trwoga. Snellgref prosi o wysłuchanie. Król jednem słowem ucisza zajadłość

Negrów; stanęli w miejscu w najgłębszém milczeniu. Poczém Snellgref przez tłumacza wymienia przyczyny swego postępku, i prosi Króla z naléganiem, aby mu przedał nieszczęśliwą ofiarę. Przyjęto jego żądanie. Snellgref postanowił niewchodzić w układy względem okupu. Lecz na szczęście dla niego Król żądał mało złota i srebra. Niewiedział także nic o dyjamentach, zdawało mu się, że i tak wiele się domagać będzie, gdy zapragnie sznurka niebieskich szklanych pereł; podano mu go z ochotą. Snellgref udał się natychmiast po małego Negra, którego wyrwał śmierci, dobył pałasza i przeciął postronki, którémi związano mu nóżki. Przelękniona dziecina, sądząc, że Snellgref chce ją zabić, poczęła krzyczéć żałośnie. Snellgref bierze ją z uniesieniem i przyciska do serca. Uspokojone dziécię, uśmiecha się do niego, i pieści się ze swoim obrońcą, który przejęty najtkliwszém uczuciem, żegna się z Królem Negrów, i powraca do swego okrętu.

Gdy Snellgref przybył na pokład, zastał tam młodą Murzynkę, którą kupił rano. Była bardzo chora, zalana łzami, i siedziała przy Chirurgu. Ten niémógł jéj nakłonić, aby się nieco posiliła; dozwolił jéj więc przynajmniéj używać świeżego powietrza, obawiając się, aby zupełnie sił nieutraciła.

Właśnie gdy Snellgref ze swoimi ludźmi zbliżał się ku niéj, podniosła oczy, a zobaczywszy nagle małego Negra, którego niósł majtek, wydała niespodziany okrzyk, skoczyła i rzuciła się na dziécię, które poznawszy Matkę, nazwało ją po imieniu i wyciągnęło do niéj rączki. Sciska je w objęciu. Smutna myśl, którą powzięła, utrata wolności, rozpacz, okropne ciérpienia, które poniosła, wszystko zapomniane było. Ma znowu swego syna, swoje dziécię jedyne. Tłumacz dał jéj dokładną wiadomość o postępku swieżym Kapitana względem dziécięcia, które przypadkiem było jéj synem. Natychmiast biegnie do swego dobroczyńcy, trzymając dziécię swoje w objęciu, pada przed nim na kolana i mówi: Teraz jestem twoją niewolnicą. Bez tego dziécięcia byłaby mnie śmierć następującéj nocy uwolniła od niewoli; wtedy miałam cię za tyrana.

Wróciłeś mi syna, dałeś mi więcéj jak życie, jesteś mym Ojcem, możesz odtąd być pewny uległości mojéj, to drogie dziécię będzie rękojmiją.

Wszystkie te słowa najżywszéj wdzięczności powtórzył tłumacz Kapitanowi. Ludzkość jego niémogła odnieść większéj nad tę nagrody; lecz jescze większéj w krótce dostąpił. Na jego okręcie było przeszło trzystu niewolników. Młoda Mu-

rzynka opowiedziała im całe to zdarzenie. Gdy się o tém dowiedzieli Negrowie, otoczyli Snellgrefa, poklaskami wyrażali mu swoje podziwienie, i przyrzekli nieograniczone posłuszeństwo. W istocie doznał od nich Kapitan w całéj podróży największego uszanowania i uległości, jakiéj tylko Ojciec od własnych dzieci spodziéwać się może.

FLORYJANA

BAJKA 3. Z KSIĘGI III.

OWCA i PIES.

Owca i kundel, których przyjaźń łączy stała,
Opowiadali sobie wzajem swe ciérpienie.
Przebóg! mówiła owca, płaczę i drżę cała,
Ile razy na nasze pomnę przeznaczenie.
Ty jęczysz w podłéj u ludzi niewoli,
Jesteś narzędziem ich woli,
Musisz wielbić twoje pany,
Być wiernym, łasić się co dzień;
I czémże bywasz za to nagradzany?
Biciem lub śmiercią, jak zbrodzień.
Ja, któréj wełną człowiek się okrywa,
Co mu mléka dostarczam i użyzniam ziemię,
Widzę każdego rana, Matka nieszczęśliwa,
Od srogich ciosów ginące me plemię.

Co li-

Co litość naszych Panów ochroni,
Wilków, ich braci, niszczy ród okrutny,
Dla człowieka pracować, ginąć z jego dłoni,
Oto jest nasz wyrok smutny!
To prawda, kundel odpowie:
Lecz czyliż sądzisz, że nasi Panowie,
Szczęśliwszej od nas kosztują doli?
Uspokój się, o Siostro, lepiej znieść, co boli,
A niżeli własną winą,
Być nędzy drugich przyczyną.

GAWRON MIĘDZY PAWIAMI.

B A J K A.

Piękną o chciwych chwały Fedr Bajkę nakryślił.
Gawron sobie raz wymyślił,
Być magnatem,
Gardzi zatém
Dawném swojém urodzeniem,
I chce piérzy przemienieniem,
Pokryć swą urodę niską.
Prawie blisko
Majestatyczne pióra leżały;
Które porozpruszały
Pawie,
Po trawie;
Zaraz po sobie piękne te pióra powieszał,
I w pośród pawi się wmieszał.

Kamraci jego,
Nawet i Ociec,
Chcąc prawdy dociec,
Pytają się go:
Co robisz, Synu? gdzie lecisz bracie?
Co? waryjacie?
Rzekł przestrojony Gawron niejednemu,
Tyż się śmiesz równać rodowi mojemu?
Ja jestem pawiem sobie,
Dam ja tobie
Tylko się jescze więcéj ozwiesz témi słowy;
I podniósłszy głowy,
Na swe suknie,
Kłapnie dzióbem, kraknie, fuknie,
I z wielką pompą, jakby Pan Mogołu
Z Pawiów orszakiem brata się pospołu.
Powitały go pawie wspaniałością zwykłą,
Ale ich zaraz cóś pikło,
Że to brat podejrzany, bowiem z sentymentów,
Z wymuszonych afektów, z dzikich komplementów,
I z innych okoliczności
Poznano Jegomości.
A na większe niesczęście był w tém zgromadzeniu
Paw, co go nawet umiał nazwać po imieniu.
I poprzysiągł kolegom, na piękność ogona,
Iż tego przybyłego gościa do ich grona,
Wśród kruków, srok, gawronów, na śmieciach widywał.
Mocno się o to cały stan Pawiów rozgniewał:
I za te zbrodnie
Osądzono zgodnie,
By nietylko pióra pawie,
Ale wszystkie wydrzeć prawie.

Za chwilę małą,
Już się stało.
A tak w płaczu i ohydzie
Do swoich idzie.
Z początku nieboraka wszyscy żałowali,
Ale dali, dali,
Kiedy wszystko już na wierzch wyszło, jak oliwa,
Tak się doń jeden odzywa:
Widać, że nasz stan niski Was szpeci;
A więc prosimy Waszeci,
Nie mieszkać znami,
Prostakami;
Ale wrócić do swego
Rodu wielkiego.
Bo jeźli zechcesz, to ci wyznam szczérze,
Że i to pozostałe postradasz tu piérze.

ROZMOWA CHŁOPKA Z PANEM.

Ty śpisz na miękim puchu, ja na miękiéj trawie,
Ty się widzisz w źwierciedle, a ja w czystym stawie,
Ty depcesz po kobiércach, ja po trawie chodzę,
Ty spijasz drogie wina, ja się wodą chłodzę,
Ty miészkasz w ciasnych murach, moje w polu chaty,
Na twych ścianach portrety, a na moich kwiaty;
Ty zbytkujesz i choryś, ja zdrów, żyjąc miernie,
Ciebie pilnuje Szwajcar, mnie Bryś, ale wiernie.
Ty drzymiesz na dzwięk strony, ja na szmér strumyka,
Ty słuchasz koncercistów, ja sobie słowika,

Twój umysł zachmurzony, ma powieka jasna;
Twa Filis farbowana, moja i tak krasna.
A co? kto z nas obydwóch w sczęśliwym jest stanie,
Podobno ja, Panie!

SCZĘŚLIWOŚĆ WIEŚNIAKÓW.

Sczęśliwy, co na łonie wieśniaczéj swobody
Ziemian rozliczne Ojca pasie swego trzody;
Co od wymysłów miéjskiéj roskoszy daleki,
Pod bukiem gałęzistym zawiera powieki,
Ma chatę krytą słomą, suknie z wełny tkane,
Lęże na miękkie siano, w sąsieku usłane,
I sczęśliwszy od Panów, choć uprawia role,
Choć snopy wiąże w polu, lub młóci w stodole.
Kontent z kawałka chleba, — i słodkiego mleka.
Ach! jak są małe żądze prostego człowieka!
On niepragnie zasczytu, ni dziwaczy z losem,
Za wszystko, co ma, wdzięcznym wielbi Stwórcę głosem.
Gdy tęskny bogacz w łożu do południa leży,
On już kwieciste łąki i pola obieży.
Widzi jasny wschód słońca, gdy z pomorskiéj toni,
Purpurą ubarwione promienie swe roni.
A księżyc, co leniwca przy wisku zastanie,
Zoczy go w gronie dziatwy, na zielonym łanie.

PIEŚŃ WIEŚNIAKÓW.

Złóżmy, Bracia, Bogu dzięki,
Za to, żeśmy chłopki,
Żyjem z pracy własnéj ręki,
Wycinamy chopki.
Nam to piękne słońce świéci,
Nam sieje promienie;
Bo my go, jak Ojca dzieci,
Witamy przez pienie.
Naszą ręką łan zorany,
Plonem nas zbogaca,
Gdzie rzucim wzrok zmordowany,
Wszędzie nasza praca.
Dla nas drzewo rzuca cienie,
Nam żyje gaj niemy,
Dla nas ptaszki nócą pienie,
Bo my je karmiemy.
Czyje to gąski pływają,
Krówki żują paszę?
Czyje pszczółki miód zbiérają?
Ach! wszystko to nasze.
Pośród tylu darów Boga,
Żyjemy swobodnie,
W naszéj chatce, choć uboga,
Niepostaną zbrodnie.
Niechaj zawsze z pracą cnota
Miészka w śród nasz chłopki,
A gdy się skończy robota,
Wycinajmy chopki.

NIECHEŁP SIĘ CUDZĄ WŁASNOŚCIĄ.

KAWKA i PTAKI.

Jowisz, ptastwu chcąc dać Króla,
Aby się spełniła wola,
Dzień naznacza na obranie.
Kawka czując powołanie,
Choć znała szpetność postaci,
Jednak nadziei nietraci;
W cudze się piórka przybrała,
Aby tylko królowała.—
Stawa, dumna w takim stroju.
Narobiła niepokoju;
Ulękła się inna rzesza,
By jéj nieoddał urzędu;
Obskoczono ją bez względu;
Każdy piórka swoje skubie;
Dostała kawka po czubie.
Jakaż strata i odmiana,
Kawka od wszystkich wyśmiana.

NIESŁUSZNOŚĆ UKARANA.

KOŃ i OSIEŁ.

Koń szedł luzem, Osieł w bidzie,
Z wielkiémi ciężary idzie,
Prosi Osieł zlitujże się,
Patrz, co mój grzbiet juków niesie,

Ubierz trochę, Koniu miły,
Bo mi niewystarczą siły.
Koń nieczuły na te modły!
Nieś sam: boś jest z rodu podły.
Dzwiga Osieł zmordowany;
W krótce ciężarem znękany,
Pada na drodze i zdycha;
Narobił Koniowi licha;
Bo Podróżny chcąc iść daléj,
Na Konia ciężary wali,
I skórę Osła zawiésza,
I w swoję drogę pośpiesza:
Poznał błąd Koń, i co szkodzi,
Że się pomódz biédnym godzi.

MODLITWA DZIÉCIĘCIA
ZA RODZICÓW.

Stwórco mój Panie, z Twego dopusczenia,
Drodzy Rodzice dotąd mnie chowali;
Ty mi sam dałeś sposobność mówienia,
Niechaj Cię głos mój i błaga i chwali.

* * *

Moi Rodzice jak dobrzy oboje,
Jeden mój uśmiéch za wszystko im stanie,
Jak Oni tulą kwilenie się moje;
Ah! szczęść im za to, Wiekuisty Panie!

Oni mnie w Twojéj zaprawiali chwale,
Chociaż mi było trudném wymawianie;
Dziś już paciorek umiem doskonale:
Ah! sczęść im za to, Wiekuisty Panie!

* * *

A jeźli Ci się dotknąć ich podoba,
Jeźli ich zdrowie ma podpaść odmianie,
Niech na mnie raczéj sroży się choroba,
A ich uratuj, Wiekuisty Panie.

* * *

O Ty! co polne przyodziéwasz kwiatki,
Co ptastwu dajesz błogie utrzymanie;
Ty zawsze dobre wysłuchujesz dziatki;
Sczęść mym Rodzicom, Wiekuisty Panie!

O MAJNOTACH.

(z Niemieckiego).

Wiadomości dotyczące się Grecyi obchodzą najwięcéj w tym czasie, dla ważności położenia i stósunków, jakie dziś kraj ten zajmuie, albo na przyszłość zajmować może. Dla tego udzielamy Czytelnikom krótkich sczegółów o Majnotach.— Majnoci mieszkaią w części Morei zwanéj przylądkiem *Matapan*, i mienią się potomkami Spartanów. Gościnność jest u nich głó-

wną cnotą. Kto przed uciskiem Turków szuka u nich schronienia, ten bywa przyjęty z wielką starannością, przynależną nieszczęściu. Dostarczą mu pomieszkania, sukien i wszystkiego. Przeniewierzenie się najmniejsze niszczy dobre imie. Od dzieciństwa przywykli młodzi Majnotowie do umiarkowania i pogardy bogactw, niemają żadnego wyobrażenia o przebiegach pieniężnych, u nich ma tylko wartość szacunek spółobywateli i Cnota. Zdaje się, że niewiasty Majnotów odziedziczyły męstwo Spartanek. Podczas wojny z Turkami nieopusczają nigdy mężczyzni swoich stanowisk, a kobiety donoszą im nietylko żywność, potrzeby wojenne, ale jescze podzielają z nimi niebespieczeństwa i trudy.— Jeżeli mąż zostaje raniony, wtedy żona bierze broń jego, i biegnie się pomścić. *Theocari* widziała, jak w ostatniéj wojnie, przed jéj oczyma, Syn zginął. Pochwyciła miecz jego, i rzekła: „Spoczywaj, moje dziecię! ja cię w boju zastą„pię." Odznaczyła się także stałością umysłu, i pogardą śmierci. *Irena*, w kolano raniona, wołała na zdumionego nieprzyjaciela: „Niemogę „już walczyć, ale będę wychowywała dzieci, „które się pomszczą za mnie." *Helena*, niedawno zaślubiona, widziała, jak mąż jéj otrzymał ranę w prawe ramie. Kula została się w ciele, ona wyssawszy krew z rany, lekko wydobyła

kulę językiem, podała mężowi i rzekła: „Oto „jest! poślij ją napowrót nieprzyjacielowi." Córki zapala przykład Matek. Młoda *Samata* donosiła bratu żywność i potrzeby do boju. Gdy dobył pałasza przeciw dwom Turkom; ona porwała za strzelbę, zabiła z nich jednego, a tymczasem brat jéj drugiego trupem położył. U takiego ludu niéma pierzchliwych. Jeżeli się jaki znajduje, obwiniają go o to niewiasty, i po śmierci, poległego w boju zostawują aż do końca bitwy. Potém bywa chowany, a suknie oddają rodzinie.— Po ranach poznaje łatwo Żona, Matka albo Siostra, czyli je odebrał z przodu albo z tyłu; w pierwszym razie opłakują go, że zginął ze sławą, w drugim palą jego suknie, a nikt nieczyni wzmianki o nim.

WYJĄTKI
Z PRZEKŁADU KOMEDYI MOLIJERA:
SZKOŁA MĘŻÓW.
Z AKTU I. SCENA I.
GNIEWOMIR, DOBROSŁAW.

G N I E W O M I R.

Bardzośmy się, mój Bracie, rozgadali oba,
Niech z nas każdy tak żyje, jak się mu podoba.
Choć masz nademną wyższość, jako starszy wiekiem,
A będąc znacznie w lata podeszłym człowiekiem,

Powinienbyś mieć rozum, wiedz jednak, mój Panie,
Że tych uwag niesłucham, i dziękuję za r. e.
Umiejąc sobie począć, o radę nieproszę,
A w dowolném pożyciu są moje rozkosze.

DOBROSŁAW.

Wszyscy Cię ganią.

GNIÉWOMIR.

Wierzę, albowiem półgłówka,
Jakim Waćpan.........

DOBROSŁAW.

Najniższy, za te grzeczne słówka.

GNIÉWOMIR.

Chciałbym naprzykład wiedziéć, gdy już słuchać muszę,
Co upatrują we mnie modne jenijusze?

DOBROSŁAW.

Humór dziki, którego surowość zbyteczna,
Niezna, co jest przyjemność i słodycz społeczna:
Który twoim postępkom śmiészną daje postać,
Tak, żeś musiał dziwakiem w stroju nawet zostać.

GNIÉWOMIR.

Święta prawda, winienem poddać się pod modę,
Niémając wcale względu na własną wygodę.
Bądź łaskaw, według swego pięknego nałogu,
Mój starszy Panie bracie, (bowiem, dzięki Bogu,
Niemało lat nim jesteś, i z tém się nietaję.
Ale wartoż wspominać staroświeckie baje?)
Bądź łaskaw, jakeś dobry, naucz mnie prostaka,
Jakbym się na modnego wystrychnął świstaka;
Jak piętami wywijał, mając włos pod szronem;
I jak w najświéższym stroju był cudnym gawronem?
Kto wie? może mnie skłonisz nosić fraki ścięte;
I te więzy na nogi, bóciki opięte,

W których nasi modnisie dziwacznie stąpają,
I zda się, że niechodzą, lecz ptakiem latają.
Ubrawszy się w te fraszki, byłbym, bez wątpienia,
Jak oryginał, celem twego uwielbienia.

DOBROSŁAW.

Stósuj się do większości, to moja przestroga,
Niech cię niewytykają palcem jak raroga,
Ostateczność uderza, téj strzedz się należy;
Rozsądny, jak w mówieniu, tak skromny w odzieży.
Wystrzega się przysady, szałem niemiotany,
Naśladuje zwyczajem przejęte odmiany.
Niemówię ja bynajmniéj, aby tych iść torem,
Którzy w modzie chcą zawsze dla innych być wzorem.
A na oślep wybredność w sukniach bolubiwszy,
Żaliliby się, gdyby kto od nich szczęśliwszy
Piérwszeństwo im odebrał. Lecz takie mam zdanie,
Że tego, co w powszechne weszło używanie,
Niebezpieczno unikać, pod jakim bądź względem,
I, że lepiéj z innymi podzielić się błędem,
Niźli trybem pedanta, w przestarzałym tonie,
Walczyć jeden z wszystkimi, na przeciwnéj stronie.

GNIÉWOMIR.

Starców łudzących siebie przemawiasz nauką,
Tych, co kryją włos siwy pod czarną peruką.

DOBROSŁAW.

Niewiem, skąd o mnie pamięć kochanego Brata,
Że mi zawsze wyrzuca późne moje lata;
Zawsze jestem igraszką Waćpana humoru,
Tak, co do wesołości, jak mego ubioru:
Czy niewolno staremu bawić się rozumnie,
Lecz tylko o koronce myśléć i o trumnie?
Czy niedość ma odrazy, choćby się wyrodził,
Niezrzędził, nienarzekał, nawet prosto chodził?

GNIÉWOMIR.

Cóżkolwiek bądź, tak jestem w ubiorze zacięty,
Że nie potrafisz ze mnie zrobić wiercipięty.
Po dawnemu, o własnéj pamiętny wygodzie,
Na złość wietrznym paniczom, i na przekór modzie,
Będę czapkę z baranem dobréj nosił miary;
Pokryje całą głowę: przytem szarawary
Obszerne a wygodne i kaftan przestrony,
Dla strawności żołądka, a ciepła ochrony;
Bóty, w którebym wskoczył z pościeli, co rano,
Nie te, gdzie na turtury noga iest skazaną..
Tak chodzili Zamojscy i tak Chodkiewicze,
Komu się niepodobam, oczy zamknąć życzę.

SCENA II.

LEONORA, ANIELA, AGATKA, DOBROSŁAW, GNIÉWOMIR.

LEONORA (*do Anieli*).

Ja to biorę na siebie, gdy Cię źle przywita.

AGATKA (*do Anieli*).

Zawsze w jednym pokoju, przed światem ukryta?....

ANIELA.

To jego zwyczaj.

LEONORA.

Siostro, mocno Cię żałuję.

AGATKA (*do Leonory*).

Jakżeś, Pani, szczęśliwa! brat się opiekuje
Z łagodnością jéj losem; humór jego miły;
I Niebios przeznaczenia łaskawszémi były,
Pieczy rozsądniejszego powierzając Panię.

ANIELA.

To cud, że dziś zostawił otwarte miészkanie,
Że mnie na klucz niezamknął, lub niewziął ze sobą.

AGATKA.

Gdybym z taką nieznośną żyć miała osobą,
W krótce, jako wysłańca od boku szatana......
(spotyka Gniéwomira).

GNIÉWOMIR.

Gdzież tedy, moje Panie, wizyta obrana?
Czy wolno się zapytać?......

LEONORA.

Jdziemy bez celu;
Siostra zaledwie wyszła, po namowach wielu,
Użyć miłéj świéżości, przy pięknéj pogodzie,
Lecz......

GNIÉWOMIR.

Jam Waćpannie wcale niejest na przeszkodzie.
Wy z Agatką biegajcie, w towarzystwie obie,
Anieli nakazuję pozostać przy sobie.

DOBROSŁAW.

Ach, pozwólże im, bracie, z pogodnego nieba......

GNIÉWOMIR.

Najniższy sługa Pański.

DOBROSŁAW.

Młodziéży potrzeba......

GNIÉWOMIR.

Młodym, czasem i starym klepki niedostaje.

DOBROSŁAW.

Czy to źle dla Anieli, że się z siostrą wdaje?

G N I É W O M I R.

Bynajmniéj; lepiéj jednak, gdy się zemną bawi.

D O B R O S Ł A W.

Lecz..............

G N I É W O M I R.

Odemnie zawisła; a Wać duby prawi.
Aniela jest najpiérwszym trósk moich przedmiotem.

D O B R O S Ł A W.

A moich Leonora; alboż wątpisz o tém?

G N I É W O M I R.

Każdy według swéj woli i mówi i działa.
Śmierć Rodziców sióstr obu już dawno zabrała,
Panie świéć im na duszy! nasz przyjaciél stary,
Ich Ojciec przy skonaniu téj żądał ofiary,
Abyśmy, kiedy zamknie stygnące powieki,
Nieubliżyli córkom najtkliwszéj opieki.
Mówił, że, skoro lata nadejdą zamęścia,
Możemy je zaślubić, lub im szukać szczęścia
I partyi stósownéj; tym drogim przekazem
Zlał na nas władzę Ojców i małżonków razem:
Leonory na siebie wziąłeś wychowanie,
Jam przyrzekł o Anieli wszelkie mieć staranie,
Ty tak swoję prowadzisz, jak Ci się podoba;
Słuszna więc, byśmy mieli równą wolność oba.

D O B R O S Ł A W.

Ja sądzę..........

G N I É W O M I R.

A ja sądzę, i powtarzam śmiało,
Żem tak mówił, jak tylko mówić wypadało.

Twojéj wolno się trzpiotać, nosić modne stroje,
Zawsze panna i lokaj ma na oku moję.
Niech Leonora biega i unika pracy,
Niechaj ją otaczają, co chwila, świstacy,
Będę się z tego cieszył; z Anielą rzecz inna;
Ta méj woli we wszystkiém ulegać powinna.
Dotąd na jéj sukienki niewydałem wiele,
W paski bierze na święto i każdą niedzielę,
Siedzi przykładnie w domu, jak skromna panienka,
Przy niéj, w godzinach wolnych, zawsze są krosienka,
Szyje moję bieliznę, wyrabia pończoszki,
Uczy się gospodarstwa: ja Matki nieboszki
Często jéj przypominam zbawienne nauki.
Chcę, aby niesłyszała żadnéj banaluki
Modnisiów romansowych, i dla téj przyczyny,
Zakazałem przyjmować wszelkie odwiédziny.
Niémoże się wyruszyć za próg bez dozoru,
Młodziéż bowiem dzisiejsza jest kobiét honoru
Głównym nieprzyjacielem. Zowią mnie gdéraczem;
Mniejsza o to, bylebym niezostał rogaczem;
Pragnę jéj oddać rękę; bronię więc mą stronę,
Bo mam odpowiedzialność, jak za własną żonę.

ANIELA.

Jakiż powód?......

GNIÉWOMIR.

Milczenie! mówisz nadaremnie,
Nauczę ja Waszeci wychodzić bezemnie.

LEONORA.

Cóż to jest?......

GNIÉWOMIR.

Mościa Panno, więcéj ani słówka,
Nie z Tobą mówię, jesteś arcymądra główka.

LEO-

LEONORA.

A więc boli Waćpana obcowanie nasze?

GNIÉWOMIR.

Tak jest, bo mówiąc prawdę, psujesz mi ją Wasze.
Nielubię twych odwiédzin, wnet i to nastanie,
Że Jéjmość Dobrodziéjce podziękuję za nie.

LEONORA.

Pozwolisz mi Jegomość wysłowić się sczerze,
Niewiem, jak moja siostra tę surowość bierze;
Dla mnieby nieufności stała się powodem,
Chociażem z nią tak bliskim połączona rodem.
Zaprę się, żem jéj siostrą, jeźli ta zażyłość,
Ze strony Jegomości, obudza w niéj miłość.

ANIELA.

I ja bardzo się gorszę z Pańskiego zwyczaju,
Czyśmy u Turków, by nas więzić jak w Seraju?
Słyszałam, że kobiéty siedzą tam zamknięte,
Jakby od Pana Boga na zawsze wyklęte.
Nasz honor lekce sobie waży uchybienia,
Jeżeli mu potrzeba ciągłego strzeżenia.
Niech Jegomość niesądzi, że, w podobnéj rzeczy,
Układy nasze taka surowość zniweczy.
Że, gdy się my kobiéty na co usadzimy,
Ze szpaka i filuta dudka niezrobimy?
Wszystkie te ostróżności zowię marzeniami,
Według mnie, kto nam ufa, ten wygrywa z nami.
Zrzędni na wiele złego zawsze się narażą,
A nasz honor sam sobie najlepszą jest strażą.

GNIÉWOMIR.

Modny mistrzu! to owoc twego wychowania,
Ty obojętny jesteś na jéj paplotania.

DOBROSŁAW.

Mój Bracie, takie mowy uśmiéch tylko wzniécą:
Jednak w tém, co mówiła, jest i prawdy nieco.
Kobiéty swobód pewnych użyć lubią czasem,
Nic z niémi niedokażesz fukiem i hałasem.
Czy stąd panna lub żona cnotliwą się staje,
Że jéj stróżem nieufność, zapory, lokaje?
Nie obejście surowe, ale głos honoru,
Zwróci je w każdéj chwili do prawego toru.
Co więcéj? szczerze mówię, nieufam Jejmości,
Która z przymusu tylko przestrzega skromności.
Postępkami niewiasty próżno chcemy władać,
Ja sądzę, że wprzód serce wypada posiadać.

GNIÉWOMIR.

Cudne marzenia!

DOBROSŁAW.

Mniejsza, lecz, co do młodzieży,
Sądzę, że ją z uśmiéchem oświécać należy,
Z niewymowną dobrocią jéj błędy poprawiać,
I pod dziką postacią cnoty niewystawiać;
Téj się w jéj wychowaniu trzymałem zasady.
Nigdym nienazwał zbrodnią mniéj znaczącéj wady.
Do jéj niewinnych życzeń zawszem się stósował,
I, dzięki Bogu, tego niebędę żałował.
W godnych jéj domach bywać niebroniłem wcale,
Odwiédzała zabawy, teatra i bale;
Według mnie te rozrywek i widoków zmiany,
Najpewniéj rozwijają umysł młodociany;
A dobrego pożycia, wielka świata szkoła,
Lepiéj, niżeli książki nauczyć nas zdoła.
Lubi wydać na stroik, bieliznę, ubiory;
Co większa? ją uprzedzam chęci Leonory,

Można sprawić panienkom te wszystkie roskosze,
Jeżeli na wydatki są gotowe grosze.
Chociaż Ojciec jéj ręki uczynił mnie panem,
Zrzekam się tego prawa, niechcę być tyranem.
Wiem ja, że w naszych latach różnica niemała,
Dla tego wybór męża wolny będzie miała:
Jeźli czysty majątek, trzy dziedziczne wioski,
Tkliwość dla niéj bez granic, i przychylne troski,
Mogą w jéj rozumieniu, do tego zamęścia,
Zatrzéć nierówność wieku, stać się źródłem szczęścia,
Niechaj mi odda rękę; wreście do jéj woli,
Żyć z małżonkiem obranym w pomyślniejszéj doli;
Ja wolałbym ją widzieć z innym połączoną,
Jak, żeby, mimo chęci, była moją żoną.

GNIÉWOMIR.

To miodek! to cukierki! co za mówca miły!
Przebóg! jak obyczaje dziko się zmieniły.
Trzpiot stary, zamiast siedzieć spokojnie u pieca,
Młodym ludziom teatra i taniec zaléca.
Niemówię, żeby grano owe dyjalogi,
W których słuchacz zbawienne odbiérał przestrogi,
Ofiarę Abraama, Zwycięztwo Michała,
Przecie piękną naukę młodziéżby stąd miała.
O złote dawne czasy! czasy Ojców chwały!
Jakżeście nam w nieścigłym pędzie uleciały!
Wielka dzisiaj, Mospanie, w młodzieży odmiana,
I słusznie, bo od obcych bywa wychowana!
Zgroza wspomnieć, że chłopców równie jak kobiéty,
Zajmują przez dzień cały fraszki tualety.
Ale, co mnie najbardziéj na te czasy gniewa,
To, że dziś lada fircyk nasz ubiór wyśmiéwa,
Że tak niegodnie, miejsce przodków naszych stroju,
Zajęły kuse fraczki Paryskiego kroju.

Cóż jest poważniejszego nad owe żupany,
Sute czapki, kontusze, złociste czekany,
I nad owe to sławne, poważne czamary,
W których nasi gromili Turki i Tatary?
Aż miło wspomnieć owe szanowne matrony;
Pysznie je ozdobiły kornety, robrony;
Dzisiaj cienkie ubiory są kobiét rozkoszą,
Zdaje się, że nie suknie ale siatki noszą.
I dla tego, za karę, z mody płochéj daru,
Dostają suchót, kaszlu, a najmniéj kataru.

DOBROSŁAW.

Obrońcą naszych czasów pozwól być nawzajem,
Uwielbiać to, co widział, jest starca zwyczajem;
Zawsze doznana przeszłość jego sercu miła,
Chociażby nawet z siebie dość naganną była.
Jednak rozsądny człowiek, w łagodnym rozumie,
Dawne czucia z nowémi trafnie zgodzić umié.
Każdy wiek ma przywary, niejest bez nagany;
Lecz jakże dziś we wszystkiém zaszły piękne zmiany.
Zniknęły barbarzyństwa długowieczne cienie,
Światło podnosi ludów godność i znaczenie.
Ale powiész, w obronie nazbyt się uniósłem:
Przesadzona pochwała niemojém rzemiosłem.
Dla tego niezaprzeczam, że młodzież dzisiejsza,
Ma wady, których nałóg zalety jéj zmniejsza:
Lecz niech dawnéj zasługi uprzedzeni liczą,
Ja nad cichość udaną, skromność niewolniczą,
Przekładam naszéj młodzi płochości niewinne,
Bo przy nich są umysły swobodne i czynne;
I gdyby mi ją ganić przyszła kiedy śmiałość,
Możebym to powiedział, że lubi niestałość;
Że rozkoszuje w modzie, a dbała o nowość,
Daleko zostawiła piękną narodowość.

Co się tycze robronów, czamar i żupanów,
Sam się, mój Panie Bracie, z uwagą zastanów,
Czy stąd, że się Paryskim Polak odział frakiem,
Przestał kochać swą ziemię, być prawym Polakiem?
Zdrajca nawet w kontuszu Ojczyzny się zrzeka;
Nie strój, lecz prawość serca, zaletą człowieka.
Może w moich uwagach zwodzę się i błądzę,
Lecz ja tak zawsze mówię, jak czuję i sądzę.
Wreście taki mój humór i moje zwyczaje,
Dzięki Niebu składaiąc rad na nich przestaję.
Ani tych dzikich maksym pragnę naśladować,
Które dzieci znaglają dni Ojców rachować.

GNIÉWOMIR.

Lecz niełatwo się miłéj zrzekamy swobody,
Którą dla nas nałogiem uczynił wiek młody.
I te piękne uczucia zawiodą żądanie,
Kiedy jéj sposób życia uléдz musi zmianie.

DOBROSŁAW.

To czemu?

GNIÉWOMIR.

Czemu?

DOBROSŁAW.

Tak jest.

GNIÉWOMIR.

Ja niewiem przyczyny.

DOBROSŁAW.

Alboż jéj sposób życia niewolny od winy?

GNIÉWOMIR.

A jeźli, co być może, pojmiesz ją za żonę,
Czy jéj takie płochości niebędą wzbronione?

DOBROSŁAW.

Ręczę, że nie.

GNIÉWOMIR.

A zatém, dla tonu, parady,
Zastawisz jéj bielidła, muszki i pomady?

DOBROSŁAW.

Bez wątpienia.

GNIÉWOMIR.

W pustoty, w szaleństwa zapale,
Będzie ustawnie jeździć na wizyty, bale?

DOBROSŁAW.

Nieinaczéj.

GNIÉWOMIR.

I ściérpisz modnisiów przy żonie?

DOBROSŁAW.

A czemu nie?

GNIÉWOMIR.

I żonę z nimi w Faraonie?
I prezenciki dla niéj?

DOBROSŁAW.

Zgoda.

GNIÉWOMIR.

A do ucha
Będą szeptać dusery?

DOBROSŁAW.

Niech sobie ich słucha.

GNIÉWOMIR.

A ty, mój Dobrodzieju, niemówiąc im słowa,
Niedasz poznać, że z ciebie dudkowata głowa?

DOBROSŁAW.

Tak rozumiem.

GNIÉWOMIR.

Poprzestań, ty, półgłówku stary,
(do Anieli).
Odejdź, bo to, co mówi, jest bez czci i wiary.

DOBROSŁAW.

Ja się spuszczę na wierność i żony sumienie,
Wreście sposobu życia w niczém nieodmienię.

GNIÉWOMIR.

Jakąż wtedy radością będę uniesiony,
Jeśli mu rogi przypną z łaski pani żony!

DOBROSŁAW.

Niewiem, jaką mi dolę planeta przeznaczy,
Ciebie, jeśli w nie żonka ustroić nieraczy,
To nigdy winą twoją nazwane niebędzie,
Boś wszystkiego najściśléj dopełnił w tym względzie.

GNIÉWOMIR.

Smiéj się, stary trefnisiu, jakże widzieć miło,
Siwka o pięciu krzyżach młodym szaławiłą!

LEONORA *(do Gniéwomira).*

O los brata Pańskiego ta bojaźń daremną,
Chcę być wierną, gdy Nieba połączą go zemną.
Lecz, gdybym Jegomości zaślubioną była,
Wyznam, żebym za siebie nigdy nieręczyła.

AGATKA.

Tych, którzy nam ufają, nagroda jest taka;
A ów kąsek łakotny mamy dla dziwaka.

GNIÉWOMIR.

Precz stąd, smocze języki, precz, wy, puste głowy.

DOBROSŁAW.

Sam się, Bracie, wystawiasz na ich płoche mowy.
Zmień humór, pomniąc na to, że gdzie więźniem żona,
Tam często wiele cierpi despotyczna strona.
Bądź zdrów, sługa najniższy.

GNIÉWOMIR.

Idź..... idź do szatana.
Para głupców, nad podziw, dla siebie dobrana!
Prześliczna familija, dziad z piątym krzyżykiem,
Szaleje i nad grobem chce zostać fircykiem;
Panna cała w umizgach, a słudzy bez czoła:
Tam nawet mądrość sama nic wskórać niezdoła,
Mogłaby i rozumu i zmysłów się zbawić,
Gdyby ten dom zepsuty pragnęła poprawić.
Moja Aniela, w gronie dla mnie tak niemiłém,
Utraci zaród wstydu, jaki w nię wpoiłem;
Więc, bym sobie nieczynił na przyszłość wymówki,
Wnet jéj oddam w opiekę i gęsi i krówki.

Z AKTU II. SCENA III.

(W niéj Aniela, *która od* Walerego, *swego kochanka istotnie listu nieodebrała, dowcipnie znajduje sposobność oddania mu własnego listu, przez Opiekuna, który się tego wcale niedomyśla).*

ANIELA, GNIÉWOMIR.

ANIELA.

Lękam się, że Walery w miłosnym zapale,
Prawdziwéj myśli mojéj niezrozumié wcale:
Dzień i noc czujne mając w koło siebie straże,
Na wymowniejszy środek jescze się odważę.

GNIÉWOMIR.

Otóż wracam.

ANIELA.

Cóż tedy?

GNIÉWOMIR.

Ach; Ty, serce moje,
Uspokój się nareście, już on ma za swoje.
Chciał się wyprzéć, jakoby czuł miłość ku tobie;
Lecz, kiedym w twego posła przemówił osobie,
Zmiészał się i zaniemiał; jam ręczyć gotowy,
Że mu w krótce ta miłość wybije się z głowy.

ANIELA.

Przebóg! co mówisz, Panie? ja się słusznie trwożę,
Bo on jescze niejedném dokuczyć nam może.

GNIÉWOMIR.

Lecz powiédz mi, co takiéj nabawia cię trwogi?

ANIELA.

Zaledwo przestąpiłeś domu twego progi,
Dla świeżego powietrza kiedy w oknie stoję,
Skrada się jakiś młodzik pod mieszkanie moje,
Który, co dla mnie dotąd rzecz jest niepojęta,
Powiedział mi dzień dobry od tego natręta,
I do izdebki mojéj to pudełko wrzucił,
Z miłosnym bilecikiem; chciałam, żeby wrócił,
Chciałam je cisnąć oknem, bez żadnéj odwłoki,
Lecz był w końcu ulicy, podwoiwszy kroki;
Prawdziwie, to mi sprawia wielką dolegliwość.

GNIÉWOMIR.

Patrz, patrz, co to za postęp, co za niegodziwość!

ANIELA.

Mam sobie za powinność, dopełnię jéj święcie,
List obmierzły z pudełkiem wrócę ci, natręcie.
Ale właśnie do tego trzebaby mi kogo,
Bo śmiałości.................

GNIEWOMIR.

Ach! pupko, o ileż mi drogą
Stanie się twoja miłość, takowém zléceniem,
Ja sam tego poselstwa pragnę z uniesieniem.
Tém, tém mnie zobowiążesz nad miarę dla siebie.

ANIELA. *(oddaje list).*

Oto jest.—

GNIEWOMIR.

Przeczytajmy, co pisze do ciebie.

ANIELA.

Ach! nieczyń tego, Panie.

G N I E W O M I R.

Z jakiéjże przyczyny?

A N I E L A.

Niepadłożby stąd na mnie podejrzenia winy?
(udaje Gniewomira).
Nieraz mnie ostrzegałeś, panienka uczciwa
Źle robi, gdy bilety miłosne czytywa;
Zawszę z téj ciekawości rozsądniejsi wnoszą,
Żeby samych oświadczeń słuchała z rozkoszą.
Niebyłaż to rozsądna i przychylna rada?
Śpiesznie wszystko w całości zwrócić mu wypada,
By dziś poznał tém lepiéj moję wzgardę całą,
Jaką zawsze ku niemu to serce pałało,
Aby wszelkiéj nadziei odtąd się pozbawił,
I na takie płochości by czasu nie trawił.

G N I E W O M I R. (na boku).

To jéj rozumowanie jest słuszne w istocie.
(do Anieli)
Rozkoszą mnie napełnia twój rozum przy cnocie;
Niepróżno ci dawałem radę wytrawioną,
Widzę, że jesteś godna zostać moją żoną.

A N I E L A.

Ale prawem dla ciebie niejest moje zdanie,
Masz w ręku list, i możesz odczytać go, Panie.

G N I E W O M I R.

Boże mnie broń od tego! twoje przedstawienia
Są bardzo sprawiedliwe, dopełnię zlécenia.
Kilka kroków postąpię, co mam zrobić, zrobię.
I powrócę spokojność tyle miłą tobie.

Z AKTU II. SCENA VII.

(Nic trafnieyszego nad wybieg dowcipny, przez jaki Aniela *ostatecznie daje poznać* Waleremu, *aby ją od niemiłych dla niéj ślubów małżeńskich uwolnił).*

GNIÉWOMIR, ANIELA.

GNIEWOMIR.

Nigdy niebył kochanek bardziej pomiészany,
Mając sobie nietknięty bilet odesłany,
Zatém żegnając zawód i nadzieję wszelką,
Zaklinał mnie, bym tobie oświadczył, Anielko,
Że miłość jego czysta i bez żadnéj skazy,
Że nigdy niémiał w myśli twéj sławy obrazy;
Że mając wolny wybór, jego było celem
Wkrótce twoim dozgonnym zostać przyjacielem,
Gdyby niewystawiły przeszkód srogie *fata*,
W méj osobie, dla któréj gardzisz resztą świata;
Że w jakim bądź przypadku, i losu odmianie,
Dla niego pamięć twoja najdroższą się stanie;
Że cokolwiek na przyszłość Niebo mu wydzieli,
Zachowa aż do zgonu miłość dla Anieli;
I, że jego uilność wstrzymuje, niestety!
Ten hołd, jakiego moje godne są zalety.
Te są jego wyrazy; nieganię ich wcale,
Uczciwy chłopiec, szkoda, że w takim zapale,
Ważył się ciebie kochać.

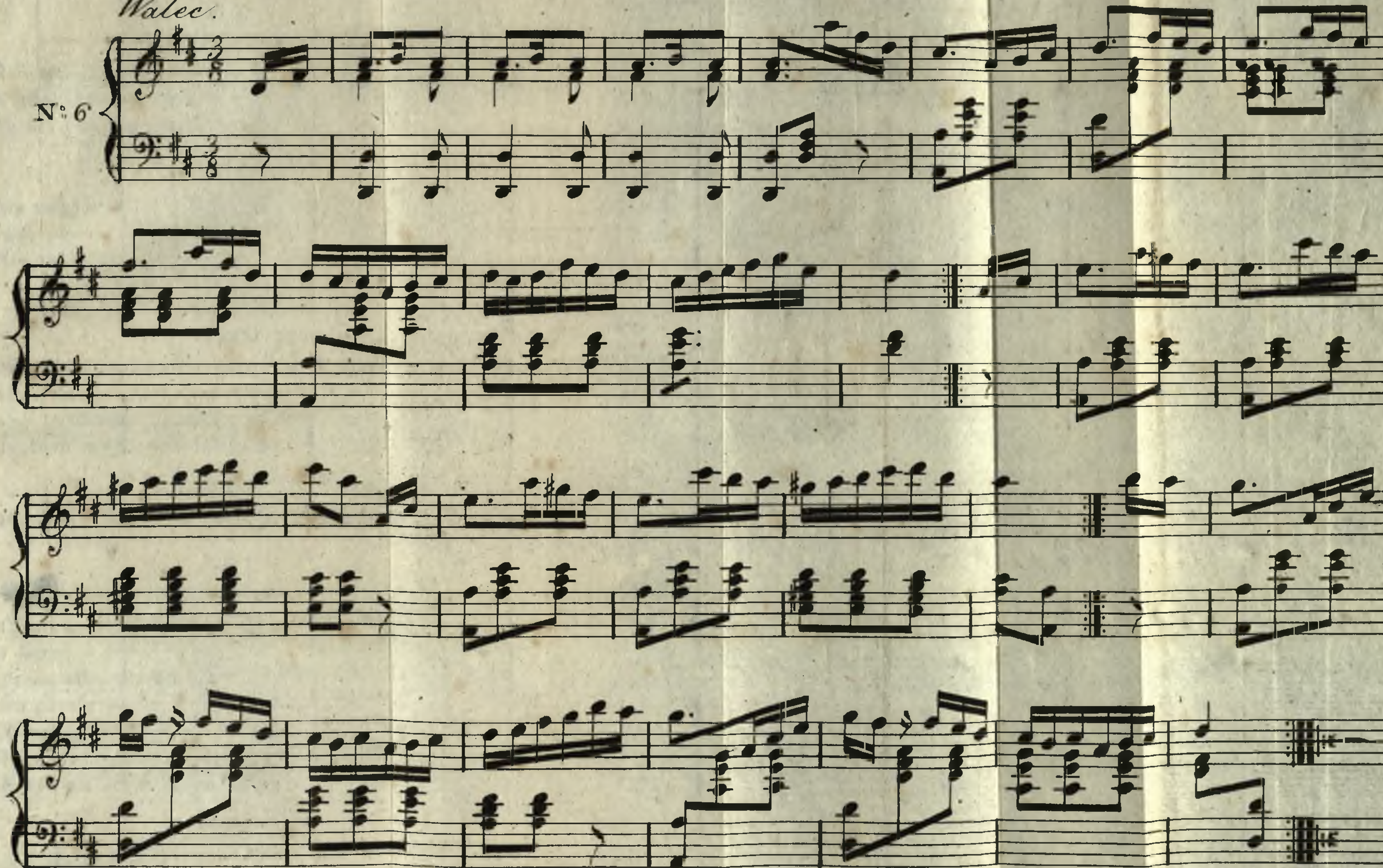
ANIELA. *(na boku)*

Niebyłam zwiedziona,
Alboż jego spojrzenie o tém nieprzekona?

GNIEWOMIR.

Co tam mówisz?

Walec.



A N I E L A.

Mnie przykro, kiedy litość widzę,
Nad tém, którego równo z śmiercią nienawidzę.
A gdybyś mnie Pan kochał, jak powiadasz nieraz,
Tę dla niego pogardę czułbyś zemną teraz.

G N I E W O M I R.

Ale mógłże on wiedzieć myśl twoję, kochanie,
Miéj przecie wzgląd na jego czyste przywiązanie,
Nie zasługuje, aby............

A N I E L A.

Chcieć kogo wykradać!
Nazwisko uczciwości możnaż temu nadać?
Mnie chcieć porwać za żonę, mnie z Pańskiéj opieki,
Czy to znaczy charakter od skazy daleki?
Jakbym mogła żyć daléj, po takiém shańbieniu?

G N I E W O M I R.

Przebóg! coś wymówiła, ach powtórz, serdeniu.

A N I E L A.

Wiem, co myśli ten człowiek, pełen dzikiéj złości,
Głosi, że mnie chce porwać z domu Jegomości;
I jescze z podziwienia wyjść dotąd niémogę;
Przez jaką potajemną dowiedział się drogę,
Że pewno za dni osiem będę Pańską żoną;
Wczoraj o tém dopiéro byłam zapewnioną.
Mówią, że chce uprzedzić to błogie zamęście,
Które mi zabezpieczy spokojność i szczęście.

G N I E W O M I R.

Nauczę ja Panicza gwizdać po kościele.

ANIELA.

Ach! darujże Jegomość, mówiłam za wiele,
To jest człowiek uczciwy, on wcale niegodzi.....

GNIEWOMIR.

Myli się, ten postępek wszelki żart przechodzi.

ANIELA.

Pańska dobroć jest jego dziwactwa żywiołem,
Nigdyby on z tak śmiałém niewystąpił czołem,
Gdybyś Pan, jako skutki płochego zapędu,
Dał poznać mą urazę, i gniéw swój, bez względu,
Bo skorom odrzuciła list jego i dary,
Zaraz począł rozgłaszać te śmiészne zamiary,
Co mnie bardzo zgorszyło: ilem posłyszała,
Sądzi, że nim jedynie zajmuję się cała:
Gardzę związkiem, o którym niech świat, co chce mówi;
I chętniebym się dała wykraść młodzikowi.

GNIEWOMIR.

Głupiec, chłystek.

ANIELA.

Udaniem to wszystko, co mówił,
On ciągle Jegomości łudzić postanowił.
Dla pokrycia szyderstwa pięknych słów używa.
Przed Niebem to wyznaje, żem jest niesczęśliwa,
O honor i o sławę daremne starania;
Gdy niegodnéj miłości odpycham wyznania,
Jakby niedosyć na tém, bojaźń mnie przenika,
Wystawiona być muszę na płochość młodzika.

GNIEWOMIR.

Ej, niebój się niczego.

ANIELA.

Co do mnie, wręcz mówię,
Że gdy się Pan nieoprzesz téj szalonéj głowie,
Jeźli ze strony Pańskiéj dzielna pomoc jaka,
Mnie biédnéj nieuwolni od tego dziwaka,
Wyrzekam się wszystkiego, i niechcę na chwilę
Znosić przykrości, jakich już doznałam tyle.

GNIEWOMIR.

Ach, niesmuć się, kochanko, i przestań się gniéwać,
Będzie on mi niedługo bardzo cienko śpiéwać.

ANIELA.

Powiédz Pan, że to wszystko rzeczą wyjaśnioną,
Bo mnie o tém z pewnego źródła doniesiono;
Że cokolwiek mu zrobić będzie się zdawało,
Wątpię, aby to jescze zadziwić mnie miało;
Niechaj próżno niewzdycha, czasu niemarnuje,
Bo już wiedzieć powinien, co dla Pana czuję,
Niech od nieszczęścia siebie i mnie zabezpieczy,
I po dwakroć o jednéj nieda mówić rzeczy.

GNIEWOMIR.

Powiem, co będzie trzeba.

ANIELA.

Lecz w dobitnym tonie,
By poznał, że słów moich napróżno nietrwonię.

GNIEWOMIR.

O niczém niezapomnę, wierzaj mi, kochanie.

ANIELA.

Czekam z niecierpliwością na twój powrot, Panie.

Przyśpiesz go, jak najprędzéj .widziećbym Cię rada,
Gdy na chwilę odejdziesz tęskność mnie napada.

GNIEWOMIR.

Idź, pupko, idź, buziaczku, śpiesznie się uwinę.
(Aniela odchodzi)
A gdzież mi kto wynajdzie podobną dziéwczynę!
Jakże jestem szczęśliwy, i jak ucieszony,
Żem, według myśli mojéj, doczekał się żony!
Kobiéty! naśladujcie kochaną Anielę,
Nie bądźcie kokietkami, jakich mamy wiele,
Które mężów uczciwych wskazują palcami.
Ale otóż i gładysz, co mnie zręcznie mami.
Poczekaj, Panie bracie, skończy się udanie,
Spełzną piękne zamiary. *(spostrzega Walerego)*
Hej, hej, Mościpanie!